

DAMA



N-6

czerniec

cena 15 tys.



SUKNIE
KOSTJUMY
OKRYCIA

LUCYNA

WARSZAWA * BODUENA * №2

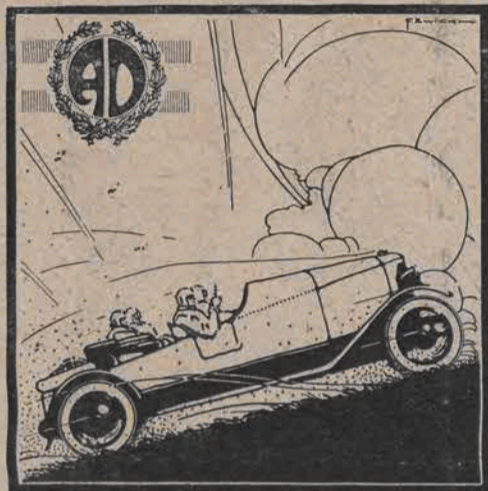
J.G. 1923.

III MIĘDZYNARODOWY RAID SAMOCHODOWY
AUTOMOBILKLUBU POLSKI

OD 15-go DO 22-go CZERWCA 1923 ROKU
Z SIEDemnASTU STARTUJĄCYCH UCZESTNIKÓW
BEZ PUNKTÓW KARNYCH PRZYCHODZI

AUSTRO-DAIMLER Nr. 1
(H. LIEFELDT)

JAKO
PIERWSZY
W OGÓLNEJ KLASYFIKACJI



i otrzymuje nagrodę Komisji Sportowej A. P. oraz nagr.
„Kurjera Czerwonego”

JAKO CZWARTY W OGÓLNEJ KLASYFIKACJI
PRZYCHODZI

AUSTRO-DAIMLER Nr. 3
(R. LUDWIG)

wreszcie

AUSTRO-DAIMLER Nr. 2
(T. WINICKI)

JAKO SIÓDMY W OGÓLNEJ KLASYFIKACJI

AUSTRO-DAIMLER
TOW. BUDOWY MOTORÓW S. A.

WARSZAWA, WIERZBOWA 6. TEL. 9-86 i 275-22
KRAKÓW, GERTRUDY Nr. 2. TELEFON Nr. 34-34

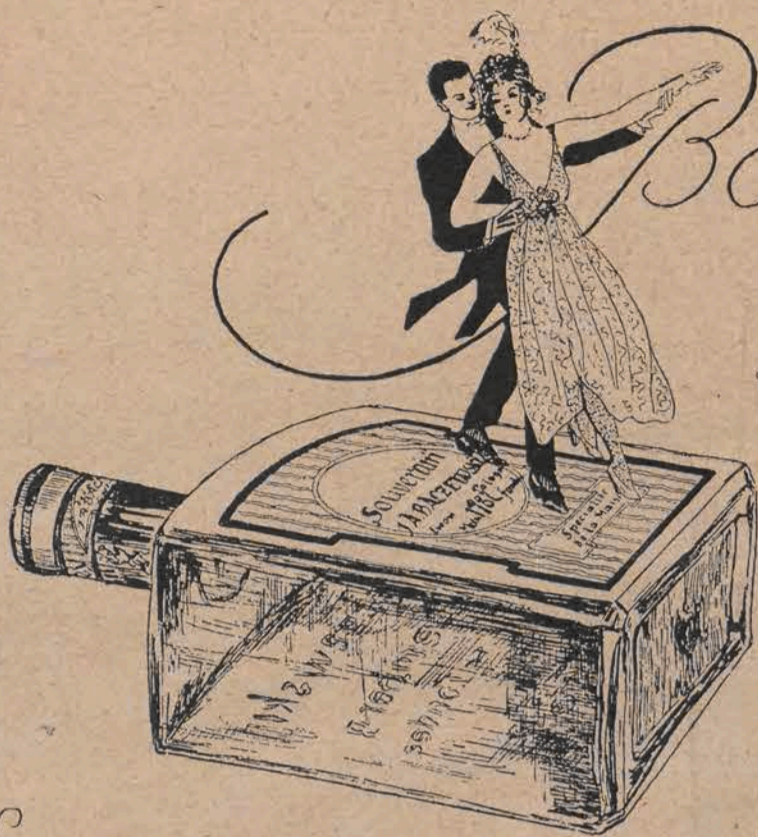
Two
KOMISPOL
SPÓŁKA AKCYJNA DLA
HANDLU I PRZEMYSŁU



WARSZAWA

UL. NOWY ŚWIAT Nr. 61
TELEFON Nr. 251-79

KRAK. PRZEDM. Nr. 16-18 i 20-22
TELEFON Nr. 28-74, 270-04 i 270-05



Baczewski

Lwów

Maison fondée
1782

L. Can
1922 N: 283



Dom Handlowy

J. Cwojko



Poleca:

Jedwabie, Wełny, Bawełny
na Kostjeony, Sekwie, Palla.
Kceerł i Detal.

RYS. RY. A. ZLOTOWSKI

Warszawa, Bielańska 23, tel. 243.

ZAKŁAD
KRAWIECKI
WARSZAWA
BIELANSKA 6
TELEF. 34-37.



STALE NA SKŁADZIE
WIELKI WYBÓR NAJ-
LEPSZYCH ANGIEL-
SKICH I SŁYNNYCH

Sportex

WŁ. ULENIECKI i SKA

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE

A R Y S ' A :

WYKWINTNE FRANCUSKIE
PERFUMY, KREMY i PUDRY

D O R I N ' A :

KOSMETYKI

G I B B S ' A :

PASTĘ i MYDŁO DO ZĘBÓW

JENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO:

L. K O R Y T K O ET C^{-IE}

PLAC DĄBROWSKIEGO Nr. 9

TELEFON Nr. 49-01





„GRAFIKA POLSKA”

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY
DRUKARSTWU, LITOGRAFJI I PO-
KREWNYM SZTUKOM GRAFICZNYM

WYCHODZI W WARSZAWIE ROK TRZECI

Jedyny w Polsce czasopismo fachowe, którego zadaniem podniesienie poziomu artystycznego drukarstwa polskiego, redagowane przy współudziale wybitnych sił fachowych i artystycznych

Nakładem „Grafiki Polskiej” wydane zostały następujące podręczniki, które nabywać można w Administracji

PODRĘCZNIK DLA SKŁADACZY RĘCZNYCH
PODRĘCZNIK DLA SKŁADACZY MASZYNKOWYCH
PODRĘCZNIK DLA MASZYNISTÓW DRUKARSKICH
UKŁAD MATEMATYCZNY
ADRESY ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH W POLSCE

Przesyłkę zeszytów i podręczników uskutecznia się jedynie po uprzednim nadesłaniu należności. Zeszytów okazowych nie wysyłamy

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA UL. ŚWIĘTOKRZYSKA 11
Konto w Pocztovej Kasie Oszczędn. w Warszawie Nr. 2651
Rachunek bieżący w Banku Ludowym w Warszawie Nr. 341

TISSUS DE SOIE POUR ROBES
M. E F R A I M

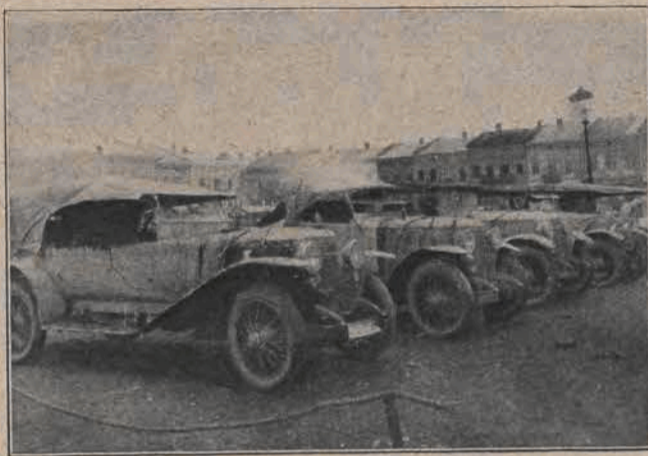
RUE MARSZAŁKOWSKA 125 — RUE NOWY ŚWIAT 41.



Międzynarodowy raid samochodowy 1923 r.

Godz. 4-a rano, stolica jeszcze nie obudziła się z błogiego snu, ale w garażu Polskiego Fiata widać gorączkowy ruch. Ze wszystkich stron miasta zjeżdżają się samochody i dorożki, co chwila ktoś przybrany w kostjum automobilowy wbiega do sali, gdzie zebrała się komisja sportowa, jednym słowem ruch nadzwyczajny — to start samochodów, które mają wziąć udział w najtrudniejszym z organizowanych dotąd konkursów turystycznych w Polsce. Kilka sygnałów, kierowcy wskakują na maszyny, warkot motorów i raid wyrusza. Route'a obliczona tak, aby wyzyskać wszelkie gatunki terenu, jaki się na ziemi polskiej zdarzyć może, obejmuje: Łowickie, Łódź, przez Wieluń i Częstochowę, na Śląsk Górny, potem Tatry, Pokucie, Lwów i przez Lubelszczyznę do Warszawy. Udział pań w raidzie jest w tym roku znikomo mały, zważywszy, że znalazła się jedna tylko niewiasta, p. Sawicka z Warszawy, która na zaofiarowanym przez siebie dla wicekomandora raidu samochodzie, odbyła całą podróż, wraz ze wszystkimi współzawodnikami. Raid rozpoczyna się pod znakiem dość niepewnej pogody, co z początku nieco peszy uczestników, jednak zaraz za Łodzią niebo znacznie się wyjaśnia, tak że wszyscy uśmiechnięci już i zadowoleni odbywają dalszą drogę w najlepszych humorach. Pod Cieszymem oczom naszym przedstawia się uroczy widok — zdaleka, jakby z mgieł powstałe, wylaniają się przedmurza Karpat, co wygląda naprawdę imponująco. Nareszcie dobiegamy do Cieszyna, skąd po krótkim, kilkugodzinnym wypoczynku ruszamy dalej do Zakopanego. Droga przepiękna wije się wśród gór i lasów smreczanych, samochód mknie, czasem jęknie na skręcie i znów pędzi dalej w przestrzeń, zda się chwilami że mu

skrzydła u boków wyrastają. Przez Nowy Targ wbiegamy do Zakopanego. Tłumy pięknych kuracjuszek darzą nas słodkim uśmiechem i zdala pozdrawiają, powiewając chusteczkami. Dzień jeden zatrzymujemy się w Zakopanem. Co wytrwali uczestnicy raidu odbywają krótkie wycieczki w góry, a człek co spokojniejszej natury i nie tak w sporcie zaarty przepędza czas na niefrasobliwym flircie u Trzaski, względnie Karpowicza. Wieczorem wszy-



Postój w Cieszymie

scy zbieramy się w hotelu „Morskie Oko”, gdzie szaleje murzyński jazz band, doskonale znany z dancingu w Bristolu każdemu szanującemu się warszawiakowi.

Na drugi dzień rano dalej w drogę. Tym razem niebo znów rozpląkało się nad nami, co wcale nie jest pocieszające, zważywszy chłód i śliskość terenu

J. ROKICKI & SKA
ARTYKUŁY ★ **PODRÓŻNE**
 N. ŚWIAT 53. TEL. 198-05. N. SENATORSKA 1. TEL. 198-06.



Mme Henriette

WYKWINTNE
KAPELUSZE
ARTYSTYCZNE
LALKI
MAZOWIECKA
6

SG



PRZYBORY
PODROŻNE
I
GALANTERIA

STEFAN
KOWALSKI

PL. TEATRALNY
UL. SENATORSKA 22
WARSZAWA

W
A
P
L
A
M
A
T

Od Nowego Targu, przez który raz jeszcze przejechać musimy, pędzimy już w stronę Stryja, gdzie wyznaczono nam następny etap. Przez cały czas z podziwem spoglądam na panią Sawicką, która dzielnie dotrzymuje nam placu bez najmniejszego nawet śladu zmęczenia. Wjeżdżamy na Pokucie, mijamy olbrzymie tereny naftowe i wkrótce dobiegam do Stryja. Nareszcie po rzetelnie pracowanym dniu danem nam jest odpocząć kilka godzin w jakim takim łóżku. Następnego dnia rano znowu w drogę ku Kołomyi, sercu Pokucia. Wszędzie po drodze obserwujemy typy huculskich kobiet, zdrowych, dorodnych jak łanie, w malowniczych, bajecznie kolorowych kostjumach. Huculki, które odznaczają się dużą dozą sentymentu, obrzucają nas po drodze kwiatami, tak, że wóz nasz po chwili wygląda jak ruchomy ogród, przepiękny wonią polnego kwiecia. Tuż za nami jedzie znakomity wóz marki Praga-Grand, który kpi sobie ze wszystkich trudności terenu i dzięki nieporównanemu wprost kierowcy, który, zdaje się każdy gwóźdź na drodze ominąć potrafi, jedzie ciągle w najlepszej formie. Dojeżdżamy do Kołomyi. Plac stand'u dosłownie oblepiony rozciekawioną publicznością, oczekuje już doskonale przygotowany przygotowany przybycia współzawodników. Wieczorem w hotelu, szumnie nazwanym City, odbywa się wspólny obiad, podczas którego na pierwszym miejscu króluje jedyna uczestniczka raidu, przedmiot podziwu i zachwyty wszystkich nas. Na miłej pogawędce upływa nam czas do późna, tak, że zdrzemnąwszy się tylko na chwilę ruszamy w dalszą drogę, aby jechać do Lwowa, gdzie obiecują nam dłuższy wypoczynek. Lwów przyjmuje nas

niesłychanie gościnnie. Plac postoju prześlicznie udekorowany zielenią i sygnałami szosowymi, wygląda doprawdy imponująco. Masy publiczności zbiegają się, by oklaskiwać przybywające maszyny, każdy z nas jest przedmiotem tysiąca uwag i zapytań, szczególnie zaś komandorzy, którzy wyróżniają się opaskami na ręce, wprost opędzić się nie mogą rozciekawionej publiczności. We Lwowie spędzamy jeden dzień z radością myśląc już o powrocie do Warszawy, bo aczkolwiek raid ten był jedną z najpiękniejszych wycieczek, jakie odbyć można w kraju, to jednak wszyscy czują się już dość mocno zmęczeni tą podróżą. Ostatni dzień raidu stanowi najtrudniejszy etap podróży, zważywszy dwie bardzo trudne próby, które każdy samochód odbyć musi. Mianowicie „kilometr lancé” pod Garwolinem i próba „souplesse”, kierownicy też, solidnie się przygotowują do tej jazdy i zupełnie wypocząci o godz. 5-ej rano pod sprężystym kierunkiem znanego warszawskiego sportsmana wicekomandora raidu p. Pawła Bitschana ruszają w dalszą drogę. Nareszcie koniec raidu. Warszawa, most Poniatowskiego, wśród tłumów publiczności samochody odbywają ostatnią próbę, po której przed lokalem Auto-Klubu odbywa się rozwiązanie raidu. Krótki tryumfalny okrzyk wszystkich sygnałów samochodowych żegna komandora raidu pułk. Zagórskiego, poczem automobile rozjeżdżają się do garaży na dłuższy już tym razem i zasłużony wypoczynek.

Zaznaczyć należy, że najlepiej podczas raidu spisały się samochody marki Austro-Daimler i Praga-Grand, które odniosły trudne, lecz piękne zwycięstwo.

J. O.

1-SZE T-WO KOMANDYTOWE PRZEMYSŁU TAPETOWEGO
SENATORSKA 10

JEDYNE

W KRAJU

ŹRÓDŁO

ISTOTNIE

WYKWINT-

NYCH

TAPET



WYŁĄCZNA

SPRZEDAŻ

RYSUNKÓW

O WYSOKIM

POZIOMIE

ARTY-

STYCZNYM

STAROPOLSKIE
TRADYCJE
WSKRZESZA TYLKO
NEKTAR ŁAŃCUCKI



MASZYNY
DO PISANIA
„A. E. G.”



W Powszechnem Tow.
Elektrycznym

KRAKOWSKIE PRZEDM. Nr. 16/18

REPREZENTANT: WILHELM ŚWIADOSZCZ. TEL. 61-60

Dani

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE I ESTETYCE ŻYCIA

Nr. 6

CZERWIEC 1923

ROK II



PAWŁOWA I PIANOWSKI W BALECIE „WESELE W OJCOWIE”

METROPOLITAN HOUSE — NEW YORK



PANI PISZĄCA

Stosunek z „Panią” — („stosunek” w tem miejscu użyty jest w znaczeniu czysto towarzyskiem!) — zaczyna być coraz bardziej zażyły. Już się zaczynają ludzie irytować, co jest dowodem oczywistym, że „Pani” ma w świecie wielkie powodzenie. Niedawno otrzymałem list, który, wyrwawszy się z koperty, krzyknął do mnie:

„...Niech Pan nie myśli, że wszystkie kobiety są kokotami i nie noszą koszul. Jestem uczciwą kobietą i noszę takowe. Może się Pan każdej chwili przekonać...”

Ha! Wszystko raczej! Odwołam, lecz sprawdzać nie będę. Niech ta zacna matrona nosi „takowe”... Wierzę, wierzę, na słowo wierzę.

Otóż to są przyjemności pisania do „Pani”. Bo coby było, gdyby ta dziewczyna nie pisała, lecz przyszła i powiedziała: „Sprawdź, czy mam „takową”, czy nie mam „takowej?” „Na poduszkę siedmiu braci śpiących!” — jak woła Dickens. — „Na boskie kolana Kiprydy!” — jak mówi Sienkiewicz. — „Na brodę Hoesicka!” — jakby rzekła Zuzanna Rabska, — smutna byłaby moja dola.

Zdarzają się jednak i bardzo znamienne dowody uznania; właściwie spotkałem się dotąd z jednym, lecz chorałym i wyrażonym publicznie. W czwartej odsłonie „Damy pikowej” chór damski przez dziesięć minut powtarza, jakby kołowacizny dostał:

„Nasza Pani, dobra Pani!... Nasza Pani, dobra Pani!...”

Skromne to jest uznanie, pedant poniekąd mógłby dowodzić, że odrobinę naciągnięte, lecz zawsze uznanie. „Nie trzeba na początek żądać za wiele!” — jak raz rzekł mąż, którego żona straciła mowę.

Mógłbym wiele uczynić takich rozkosznych porównań, ale mi się poprostu nie chce; motyw ten dla wszystkich Pań jest doskonale zrozumiały. Postanowiłem zresztą po tym małym wstępie, przypominającym dekolt damski, zejść dalej, do samej rzeczy, i zastanowić się nad jeszcze jedną odmianą Pani, którą zoologja określa nazwą: „Pani pisząca”. Otóż nią się zajmie fejteton mój, napisany pod wezwaniem świętej Magdaleny Samozwaniec i świętej Apolonji od bólu zębów.

Strasliwa istnieje rozbieżność zdań w sporze na pytanie, co jest największą plagą ludzkości; jeden mówi cholera, drugi „Trędowata”, trzeci mówi, że departament sztuki i kultury, czwarty, że popisy szkół dramatycznych, piąty, że kwiatek na rzecz trzeciej sekcji dobroczynności tow. pod wezwaniem św. Tymona, szósty mówi, że stróż z jego kamienicy, siódmy i siedemdziesiąty siódmy mówi, że kobieta. Łatwo to powiedzieć: kobieta. Znaczy to byle co i jest głośnym jedynie oskarżeniem; nieładnie zwalać wszystko na kobietę, bo przecież to także człowiek. Tak przynajmniej twierdzi nauka.

Otóż największą plagą świata jest w istocie kobieta, ale kobieta z przymiotnikiem, kobieta pisząca. Miły Boże! Gdyby Mojżesz był naprawdę sprytny, byłby na Egipt nie nasyłał ciemności, owadów, węzów i żab. Śmieszne to były kawały; lecz gdyby był tak nasłał na nieszczęsnego Faraona Mniszkównę, a zacna Mniszkówna gdyby była Faraonowi przeczytała od deski do deski „Ordynata Metufiskiego”, — wtedy — na krogulczą głowę boga Rah! na sto wylupiastych piersi Izdy! — ryknąłby Faraon: Żydy! idźcie z Bogiem, byle prędko!

Głośnej autorki tej użyłem tylko dla przykładu. Cudotwórca Mojżesz mógł wybierać wśród tysięcy. Mógłby być, zamiast tłuc kijem o skałę, dotknąć nim lekko byle kobiety: jak rzeka popłynęłaby z niej powieść, dramat i tomik wierszowany.

Nauka nie podaje sposobów, jakimi można na pierwszy rzut oka odróżnić ten niebezpieczny gatunek kobiety, od kobiety normalnej; na oko niczem się nie różnią. Chyba, że jak Amazonki poznawało się po odciętej prawej piersi, aby im szlachetne to wzgórze nie przeszkadzało w oparciu łuku, tak kobietę piszącą poznać można po wzniesieniu lewej łopatki od zbytowego pochylenia nad papierem. Jest to jednak oznaka niepewna, na jej podstawie bowiem można oskarżyć najmiłą, najpocziwszą kobietę, wzięwszy ją za piszącego potwora. (Nadmienia się przytem, że kobiety zawodowo i z talentem piszące mają łopatki w porządku i są zazwyczaj bardzo przystojne, co się stwierdza w interesie prawdy, w interesie Magdaleny Samozwaniec i kilku innych, najmilszych niewiast...)

Pani jednak, pisząca epidemicznie, owa straszna, ów mściwy wymysł szatana, poczęty na Łysej Górze, Pani grafomanka, owo żywe pióro, wyrwane z gęsiego ogona, ów słoik nudnych konfitur z rumbarbarum, ta śluza łez, ten garnek niedogotowanej wody, ten balon westchnień i postękiwań, zbiornik kropek, zawsze trzech wykrzykników i czterech znaków zapytania, owo pudło starych zabawek, owa plaga plag i nieszczęście nieszczęść, jest zwykle, albo starą panną, której nikt nie chciał, albo najczęściej rozwódką, z którą nikt wytrzymać nie mógł.

Kiedy i dlaczego taka pani pisze? Pan Bóg się nad tem zastanawiał, ale zagadnienie było zbyt trudne. Faktem jest matematycznym, że kobieta mało jeszcze zdeprawowana, jeśli się nudzi, albo jest niezadowolona, wtedy tłumaczy. Wszystko jedno co, powieść, czy dramat. Ale tłumaczy. Są to osoby łagodne, które można uleczyć dobrem słowem, okładami z lodu, lub małżeństwem.

Pani pisząca „oryginalnie” — jest stracona; pisze ona dniem i nocą, w domu i w hotelu, w kościele i w pociągu. Tematem jest zawsze miłość. Ponieważ jasnokościstego wiedma nikt nie chciał, więc miłość ta jest sierdzista, krzyczy, płacze i krwawo uraga. Każdy wykrzyknik wygląda, jak żmija, każdy przecinek, jak glista. Używa najczęściej formy pamiętnika i w każdym rozdziale chce umrzeć. „...Już dość! już dość... Niech myśli, że przez niego... Sponiewierał mnie i rzucił jak cytrynę na śmietnik... A ja patrzyłam mu w oczy, jak pies... Umrzeć! Umrzeć! Zasnąć na wieki!!!...” Ta cytryna i ten pies są w pamiętnikach artykułami pierwszej potrzeby.

Albo tak: „...28 sierpnia. Czuję twoje palce na mej skórze... Palące pocałunki miażdżą moje usta... O, ty! ty! ty! Ty ukochany i ty podły!... 29 sierpnia... Dziś był stary, dobry lekarz, który spojrzał na mnie smutno... Zapalenie mózgu... Więc śmierć... Poczci oni to ukrywają???!”

Niech mi kto pokaże powieść takiej Pani bez zapalenia mózgu?

W dalszym rozwoju kwestji, panie, piszące prozą, nie są tak znowu straszne, jak piszące:

a) wiersze liryczne, b) dramaty fantastyczne wierszem. Ten drugi odłam jest szczytem. Dwunastu starych, dobrze odżywianych warjatów nie wymyśli tego, co wymyśli kobieta w dramacie „fantastycznym”. Gadają w nim skały, drzewa, paprocie, grzyby świeże i suszone, migdały, rodzenki, elfy, sylfy, stare djabły, młode djabły, wiewiórki, nietoperze, poziomki; żaba gada wierszem do wiatru, „turnie, hej wysokie turnie!” mają mowę do starożytnego dębu, stary dąb gada z piorunem, piorun z pastuszkami, aż w siedemnastym akcie zjawia się Bożenna, Marzanna i królewna, aby urządzić, czy królewna ma się puścić z królewiczem na łożu z leśnych mchów, czy mają sobie jeszcze pogadać, aż mech podrośnie.

Przysięgam na Safonę, że mi raz jedna Pani ofiarowała dramat, w którym królewicz Pióro utopił się w jeziorze kałamarnic, bo Wieszcza nie chciała mu dać czegoś tam, ale czego, nie pamiętam. O, to było śliczne! Miałem raz dramat, naprawdę autentyczny, p. t. „Zepsuty szwagier czyli Ładna rodzina. Z prawdziwego zdarzenia napisała X. X. X.”

Musiałbym zapisać całą „Panią” razem z okładką, gdybym chciał wspominać wszystkie te cudowne rzeczy. I pomyśleć, że taki wobec grafomanstwa drobiazg, jak morderstwo z miłości — jest karane, a wolność pisania jest zagwarantowana prawem. Czy to ładnie? Należy więc pomyśleć o środkach zapobiegawczych, lecz nie stosować ich wtedy, kiedy kobieta już napisała powieść. Nie! Przy pierwszym podejrzanym ruchu, potrzebnym do ujęcia pióra, zastosować kurację końską wprawdzie, lecz skuteczną: wydać dziewczę zamąż.

Zresztą — mój Boże! — i to czasem nie pomoże... Wtedy straszliwa istota zaczyna pisać pamiętnik: „...Sprzedano mnie... jestem jego zabawką... Bucha od niego alkohol i dym cygar... Czy ja wiem zresztą, czy to cygara? Może tak pachną uliczne dziewczki... Może to woń rozpusty... Boże! jak bardzo chciałabym umrzeć!...”

I pomyśleć, że nikt jej tego bronil!

KORNEL MAKUSZYŃSKI



PIOSENKI GÓRALSKIE

1. Kornel

W „Morskiem Oku” gra muzyka,
Za oknami wicher, chmury,
Kornel pije „Tabromika”
„Moje drogie, polskie góry”.

Jakaś śliczna złota główka,
Szampan, sorbet, konfitury.
Gubałówka, anyżówka
„Moje drogie, polskie góry”.

2. Lorento

Lorentowicz raz z Murania
Ujrzał orła, więc się kłania.
Orzeł, choć to zmyślne ptaki,
Myślał chwilę: „Któż to taki?”

„Ach! przepraszam sercem całym,
Bez cylindra nie poznałem”.

JAN LECHOŃ



PROFILE KOBIECE

TA, O KTÓREJ NIE WIEMY NIC...

Jakiś kaprys każe mi rozpocząć tę galerję profilów kobiecych od wizerunku osoby, o której nie wiem nic... Jest może w tym zagadkowym pociągu jakiś głęboko filozoficzny symbol: jeżeli prawdą jest, że najsilniej działającym elementem kobiecości jest wiecznie czająca się w niej Tajemnica, cóż dziwnego, że najbardziej ponęt-
nem i drażniącym owej kobiecości wcieleniem staje się ta, o której nie wiemy nic...

Dosłownie nic, prócz imienia i nazwiska. Nazywała się Katarzyna de Vausselles. Czy była damą z „towarzystwa” czy z półświatka — pół światka XV wieku — nie wiemy. Nie posiadamy żadnego jej wizerunku. A jednak Katarzyna de Vausselles żyje życiem wiecznym, dzięki temu, że kochał ją wielki poeta.

I o nim wiemy bardzo mało. Urodził się w Paryżu, w r. 1431, w tym samym roku, w którym spalono Joannę d'Arc na stosie. Przybrał sobie nazwisko Villon. Miał zostać księdzem, co było jedyną karierą dla ubo-
giego a zdolnego chłopca w owych czasach. Ale talent poetycki, wesołość, towarzyskie zalety pchnęły go w krąg złotej młodzieży paryskiej; naiwny a gorący chłopak dostał się w ręce czarodziejek wykwintnego świata. I uczył się wędzić. „Złota, złota za wszelką cenę” — musiało w nim krzyknąć, jak w cztery wieki później w bohaterach Balzaka. Ukradł. Czy dla niej, czy dlatego, aby podtrzymać to życie nad stan, które go ciągnęło, — nie wiemy. Kradzież była ciężka, ze współnikami, z włamaniem, co zresztą w ówczesnym studenckim życiu nie było zbyt rzadkie. Po niej przyszły inne; i ucieczka, i lata tułaczki, więzienia, skazanie na szubienicę i cudowne ocalenie... Wreszcie, mając lat około trzydzieści, Villon opuszcza Paryż i znika bez wieści; podobno przystał do bandy opryszków, aby dzielić ich wyprawy i we własnej ich złodziejskiej gwarze składać kunsztowne ballady. Jak długo żył jeszcze, jak zginął — nie wiemy; została po nim tylko legenda.

Zanim opuścił ostatecznie Paryż, chory, znękany więzieniem, napisał swój Testament. Taki tytuł nosi niewielki poemacik, jaki zostawił; jeden z klejnotów literatury francuskiej, utwór, w którym żart i melancholja, namiętność i rezygnacja, miłość i śmierć, splatają się w uroczych i przejmujących strofach.

„Miłości pomarł męczennikiem”, mówi o sobie Villon w balladzie, stanowiącej zamknięcie testamentu i jakby nagrobek. Dziś, patrząc wstecz, oglądając trzeźwym okiem zmarnowane życie, niepowrotną przeszłość, widzi, że był tylko igraszką w rękach zalotnej kobiety! Ach, gdybyż była z nim postąpiła szczerze,

...gdyby ta, której'm niegdy służył,
z wiernego serca, szczyrej woley,
przez którą'm tyle męki użył
y wycierpiałem moc złey doley,

gdyby mi zrazu rzekła szczerze
co mniéma (ani słycho o tem!)
ha! byłych może te więcierze
przedarł, y nie lazył iuz z powrotem.

Cobądź tey ieno kładłem w uszy
zawždy powolnie mnie słuchoła
— zgodę czy pośmiech maąc w duszy —
co więcej, nieraz mnie cirpiała
iżbych się przywarł do niey ciasno
y w ślepki patrzył promieniste
y prawil swoje... Wiem dziś iasno,
że to szalbierstwo było czyste...

Wszystko umiała przeinaczyć;
mamiła mnie niby przez czary;
zanim człek zdołał się obaczyć
z mąki zrobiła popiół szary;
na żużel rzekła, że to ziarno,
na czapkę, że to hełm błyszczący,
y tak zwodziła mową marną,
zwodniczem słowem rzuciący...

Na niebo, że to misa z cyny,
na obłok, że cielęca skóra,
na ranek, że to wieczór siny,
na głąb kapusty, że to góra;
na stary fuzel, że moszcz młody,
na świnię, że to młyn powietrzny,
na powróż, że to włosek z brody,
na mnicha, że to rycerz grzeszny...

Tak oto moje miłowanie
odmienne było y zdradliwe...

Tyle wiemy o Katarzynie de Vausselles. Jako „znaki poszczególne”, to niewiele. Ach, prawda: jest jeszcze jeden ustęp w „podwójnej balladzie”, gdzie, w oryginale, Villon wymienia ją z imienia i nazwiska, natracając o swojej smutnej, bliżej nieznannej nam przygodzie:

...o sobie biednym też rzec muszę;
zbito mnie, niby w rzecze płótno,
na goło, drągiem... Na mą duszę,
tę kaźń któż ziednał mi okrutną,
ieśli nie Kasia czarnooka?
Wzięły po grzbiecie y kompony:
ciurkiem płynęła tam posoka...

To było, zdaje się, wszystko, co biedny poeta zyskał na swej gorącej miłości... To też, wyleczony z romantyzmu, nauczył się traktować sprawy miłosne mniej górnio; ale i na ten zbytek nie pozwala mu nędzia:

...zaiste, nieraz miłowałem
y miłowałbych ieszcze chętnie;
lecz serce smutne, z wygłodniałym
brzuchem, co skwirczy zbyt natrętnie,
odwodzą mnie z miłosnych drożek:
ktoś inny, syty, swey ochocie
folguie za mnie: Amor-bożek
w pełnym wszak rodzi się żywocie!

Stopniowo, żal, gorycz wzbiera w sercu poety; transponując zapewne rzeczywistość, wszystkie nieszczęścia swego życia, zszarganą młodość, więzienie, chorobę, — wszystko kładzie na karb owej nieszczęśliwej miłości. To też zaciska zęby i odrzeka się tkliwych drgnień serca:

...Precz od się ścigam już Amory,
plwam na obłudne te nadzieje;
mógłby człek skapiec onej porcy
ni te to ziębi ani grzeje;
... a jeśli na mnie kto zawarczy,
iż śmiem Amorum hańbę zadać,
niech za odpowiedź to mu starczy:
„Kto zdycha, wszystko lża mu gadać...”

I istotnie, Villon korzysta z owego prawa gadania „wszystkiego” nader szeroko. Niema sarkazmu, obelgi, którejby nie rzucił w twarz kobiecie. Zastanawia się z pozorną dobroduszością, nad przyczynami, które skłaniają kobietę do zdrady:

...Co je pcha k'temu? nie chcąc cześci
samicej kalać, tako mniemam,
że taki snadź już los niewieści:
inszego sądu o tem nie mam;
ba, powiedają mądrzy ludzie
y dobrze sprawę tę znający,
iż sześciu chwatów, w krzepkim trudzie,
niż trzech urobi pono więcej...

Podawać piłkę, rzecz to gasza,
a żeńska chwylać ją do siatki;
ot, cała słuszność, nasza, wasza,
takie miłości są zagadki:
wiary w tych igrach ty nie pytasz,
choćby sto razy ją poprzysiądz,
y stare słówko pilnie czytasz:
„za jedną rozkosz, bólów tysiąc...”

I pod tą filozoficzną napozór rezygnacją czai się w sercu poety wściekłość, która wybucha raz po raz. Syci się w myślach obrazami zemsty. Bo jest ktoś — ma tę słodką pewność — kto go pomści okrutnie, nieubłaganie. To starość, straszna dla kobiety starość, wówczas o ileż wcześniejsza, dotkliwsza niż dzisiaj! Raz

po raz przywołuje wyobraźnia poety ten drapieżny obraz odwetu, aż wreszcie daje mu mistrzowski, przeraźliwy wyraz w owych „żalach” pięknej niegdyś kobiety, oglądającej z rozpaczą ruinę swoich wdzięków:

...Cóż się z tem czółkiem stało lśniącym,
kosą blond, brwią wygiętą w górę,
spożrzeniem radem a palcem,
co lazło chłopcu, het, za skórę?
Z tym noskiem zgrabnym, wdzięczną brodką,
ustami zmysłnie wyciętymi,
z tą buzią taką iasną, słodką,
z pięknymi wargi rumianami?

A teraz?

Czoło zmarszczone, włosy siwe,
brwi oszedziałe, oczy szkliste,
niegdy wesołe, rozkoszliwe,
niecące w krąg szaleństwa czyste;
nos zakrzywiony, szpetny zgoła,
uszy kosmate y pobladłe,
gardziel obwisła tak u woła,
broda y usta w głąb zapadłe...

...tak dobrych czasów załuiemy,
gromada starych wiedźm, siedząca
w kuczki, w żałosci grzęznąc niemey,
łachmanów kupa, ot, cuchnąca;
niby konopnych sznur paździerzny,
co ledwie zallli się, już gaśnie;
niegdy kwiat ziemi, cudny, świeży:
otoś samicza dola właśnie...

Biedna Katarzyno de Vausselles! Nie wiem o tobie nic; ale nieraz, kiedy się zadumam, widzę ciebie taką, jaką byłaś w najpiękniejszej dobie swego życia... I wierzaj, chociażbyś była jeszcze sto razy więcej „odmienna y zdrażliwa”, chociażbym nawet ja sam, osobiście, wycierpiał wszystkie owe „każnie”, na które skarży się biedny poeta, nie życzyłbym soeie takiego odwetu. Nie jesteśmy dziś tak okrutni, jak ten niedoszły opat Średniowiecza. Zostań, o śliczna, najdłużej jaką zdołasz, „cudnym i świeżym kwiatem ziemi”, a Bóg, Herse i W. Klimecki (Niecała 5) niech ci w tem będą ku pomocy.

BOY





W. SKOCZYLAS

PIEŚŃ

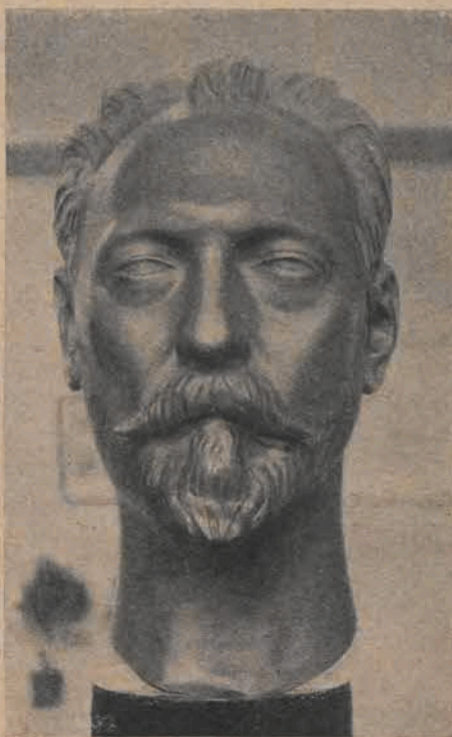
„RYTM”

— Czy widziała Pani wystawę „Rytmu”? Nie?! Ah, daleko, daleko!... Pójdziemy razem! Dziękuję za zgodę! Dobrze, więc chodźmy zaraz! Tylko proszę nie narzekać, przecież to naprawdę nie tak daleko! O, już i Astorja! Tak! Kto jest ten pan?... Jakto nie poznaje Pani? Makuszyński Kornell! Ten drugi? Ten, à la bébé, to Korab-Kucharski! Prawda? ha, ha, ha! Chciałaby Pani, żeby się odwrócił. Wątpię! Lepsza sztuka mięsa na stole, niż kobieta na dole. Ah, ja tak nie myślę, przypuszczam, że to... Przepraszam! Już nie będę! Czy lubię Aleje Ujazdowskie? O zmierzchu bardzo i nie w niedzielę. Och, i jeszcze jak! Ale to tak dawno, mój Boże. Tu właśnie pocałowaliśmy się z nią po raz pierwszy — rozplakała się! Potem kochałem się w jej siostrze, młodej mężatce... Co z tamtą? Hm, widziałem ją dwa tygodnie temu z porucznikiem artylerji. Pani? W Botanicznym? Czyż być może? I nie bała się Pani? Tak, na odległość czasu dziwimy się własnej

odwadze! Złote czasy! Słyszysz Pani? Znow o akcjach mówią! Jakto, Pani także? Dziesięć Żyrardowskich! Miljonerka! Wygrała Pani obraz Piątkowskiego — wiesz! Na jakie oni się jednak kawały biorą! I cóż Pani zrobiła z tym Piątkowskim? Wymieniła Pani u Burufa na dwie pocztówki? Ha, ha, ha! Że jednak dali dwie pocztówki... Złośliwy? Boże uchwaj!

— No i „Rytm“! Zmęczyła się Pani? No oczywiście, że nie tak daleko! Borowski? Tak! Cóż ja dorzucę do Pani zachwyty? Jak wygląda? Wysoki... nie, nie brunet, wręcz przeciwnie! Zaraz, zaraz! Wysoki, blondyn, szczupły... właśnie, właśnie ten sam... Widziała go Pani w Krakowie? Tak był tam niedawno! Bardzo dobrze komponuje, szczególnie umiejętnie jednoczy przeprowadzenie kolorystyczne z całością rysunkowego założenia kompozycyjnego. Cóż łatwiejszego? Sprzedać jeden Żyrardów i...

Wiedziałem, że Pani to powie! Niesiołowski jest jeszcze dla ogółu



H. KUNA

PORTRET
J. LORENTOWICZA

naszego nieco za wczesny! Noga w kostce, noga w kostce! Mój Boże, każdego oburza ta potwornie gruba noga w kostce! Lubię, gdy Pani mówi z takim cudownym podnieceniem i nadąsaniem: „Przecież nikt takiej nogi lubić nie może, nikomu nie jest w stanie się to obrzydlistwo podobać”. Otóż postaram się, żeby się Pani odwróciła od tej nogi samej w sobie i zwróciła łaskawem obliczem i spojrzeniem do obrazu. Ah, co ja mam z Panią? Teraz znowu piersi! Proszę spojrzeć na całość, na płaszczyznę płótna i zapomnieć o wszystkich istniejących kobietach. Niepokoi Panią w dalszym ciągu? Widzi Pani... Zaraz, zaraz! Czy dostrzega Pani w tym akcie, najpierw pewną melodyjność i płynność linii? Tak? No to świetnie! Zgoda! Nikt na taką kobietę nie poleciał! Przepraszam, nikt na taką kobietę, chcę wybrnąć, niech mi Pani pomoże, nikt się w takiej



E. ŻAK

TANCERZ



W. ROGUSKI

MADONNA

kobiecie nie zakocha. Przyśni się Pani? Dalby Bóg! Co jeszcze niepokoi? No to nareszcie jesteśmy na dobrej drodze. Brawo, Niesiołowski! A Rzecki? Zdaje się, że się porozumiemy! Inna, niż poprzednie, ale bardzo dobra w układzie! Świetnie to Pani pomyślała, czasami naprawdę robi wrażenie, że Pruszkowski maluje obraz poto, by móc naraz gdzieś położyć dwie białe plamki. O tak, umie malować, tylko że się go kawały trzymają. Ta głowa węglem jest wcale, wcale! Żak, to myśliciel, malarz zimny, zrównoważony i bardzo utalentowany. Kramsztyka pejzaż, niech Pani spojrz, zupełnie dobry — portret Witkowskiego słabszy.

— Usiądźmy, jeśli wola Pani. Kto jest ten stojący gentleman? Zaraz Pani powiem. To portret p. Wędziagolskiego malował Śleńdziński. Mojem zdaniem umiejętność i talent Śleńdzińskiego



W. WĄSOWICZ



W. BOROWSKI

PO PRACY

idą po złej linii. Środki, któremi rozporządza ten artysta, są źle przezeń wyzyskane. W tym portrecie mężczyzny, tak doskonale co do dokładności widzenia natury narysowanym, panuje jakaś obojętność, wyraz ogólny dosyć martwy. Nie wiem, czy mnie Pani rozumie? Chcę powiedzieć, że wszystkie zalety portretów Śleńdzińskiego są jakby umyślnie przez niego omartwione i pozbawione potrzebnej ekspresji plastycznej. U Roguskiego np. ekspresyjność ta jest wyrażniona i wydobyta środkami bardziej prostymi. W rysunkach Roguskiego żadna wartość nie przepada. To samo u Skoczylasa.



ST. RZECKI

STUDJUM

Zresztą tego artystę zna Pani dobrze, tak samo, jak Borowskiego. Wąsowicz jest ciągle jeszcze niepokojący. I mnie się też podobają jego dwa koncerty. Jakże świetnie skomponowane! W portrecie dziecka, ma Pani rację, za dużo tego fotela.

— Proszę, jeśli Pani chce, popatrzmy jeszcze na Madonnę Skoczylasa. Czuje Pani do niego pewną słabość? Świetnie! Muszę mu to powiedzieć.

— Lawn-Tennis Zaruby — zaczynamy być w zgodzie. Jeszcze ze dwie wystawy razem obejrzane i porozumienie pewne. Żeby ten Zaruba więcej malował.

— Co, jeszcze do



R. KRAMSZTYK

PORTRET ART. MAL.
R. WITKOWSKIEGO



I. POKRZYWNICKA

FLIRT

Borowskiego? Dobrze! Ale chcę, chcę, tylko muszę się Pani przyznać, że ja już jestem tutaj piąty raz.

— No i cóż, żałuje Pani, że przyszła tu ze mną. Dziękuję! Nie mam zatem wyrzutów sumie-

nia. Prawda? Stanowczo najlepsza i najpoważniejsza ze wszystkich wystaw. Słucham. Pokrzywnicka i Gronowski? Pani! Przecież to filary „Pani”, proszę Pani... Poznaje się ich po wdzięku zdaleka, zdaleka!

J. ŻYZNOWSKI



Kołysanka

Stowa Łd. Kleszczyńskiego

Stefan Tymieniecki.

Andante sostenuto

Mi - tośc' xto - ta

o - - tworzyła drzewi ser - ce mo - je o ko - cha - niu s'ni

w cud - nej da - li gwiazd się pali dwór ko - ty - san - ki

The musical score is written in a 3/4 time signature with a key signature of one flat (B-flat). It consists of three systems. Each system includes a vocal line on a single staff and a piano accompaniment on two staves (treble and bass clef). The tempo is marked 'Andante sostenuto'. The lyrics are in Polish and describe a lullaby scene.

szept - ce ci - chy wtór *Śpij ko - chan - ku*

spy o pa - nie mój noc roz - pię - ła sxa - fi - ro - wy strój

Wdal nie - xmier - ną niech nas wie dzie hen prze - naj - słod - sxy

mi - ło - wa - nia sen - - - -
mo - - ren - - - do

BALLADY I MION



ODETTA



ATA ATA

W płomiennym ogniu stanął święty Fuzi-Jama,
Niebo w błękit zielony gaśnie — okien krata
Papierem zaklejona gore, zda się. Sama
Dzisiaj tańczy tancerka mała Ata-Ata.

Sesimony jedwabne brzęczą niby latem
Komary. Ata lubi wierszy słuchać, zatem
Poeta tską smutną deklamuje utę,
Że serce drży, jak gdyby było złotem strute.

Ata-Ata — dziś tańczy sama i dla siebie,
Ata-Ata — gałązka wiśni w bładem niebie —
Ata-Ata — to mała japońska tancerka,
Motyl, co z rzeźbionego porwał się puzderka.

Ata-Ata — to muszla, która morzem gwarzy,
Serce skrwawione, uśmiech ma na twarzy.

W rytm zapomnianych tańcząc gawotów
Odetta suknie rozwiewa blade,
Flety, jak pęki drżących żabotów,
Snują leciuchne, zwiewne rulady.

Odetta myśli, że przyjdzie radość,
Że jakiś słodki zawita tancerz,
Przetnie koronek przejrzystą bladość,
Rozepnie złoty na sercu pancerz.

Laurowe krzaki drżą w kątach sali,
Tony gawotów milkną w oddali,
Fletów i skrzypiec cichną już pieśni.

Snują się dźwięki starych wireli,
Odetta, biała jak kwiat grążeli,
Odetta śpiewa, jak ptacy leśni.



INKA

Zda mi się, żeś jest małą dziewczynką,
Że usnęłaś zmęczona tuż przy mnie.
Dzwon w zmierzchowym rozśpiewał się
O ty moja, maleńka ty Inko. [hymnie...]

Zda mi się, żeś jest małą dziewczynką:
Rwiesz przed domem w ogródku nasturcje.
Słońce stoi w zachodniej już furcie...
O ty moja, maleńka ty Inko.

Widzę w świetle wieczoru twą głowę,
Śpisz cichutko w kąciku kanapy.
Obok ciebie kot wyciągnął łapy,
Rozsypał nasturcje płowe...

Widzę ciebie wciąż taką dziewczynką,
O daleka, maleńka ty Inko!

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ



GRAZIA GRANZOW de la CERDA
małżonka attaché poselstwa hiszpańskiego w Warszawie

R Ó Ź E

Gdy zakwitną moje róże
takie duże i szkarłatne,
pełne garście kwiatów natnę
i w ozdobny wazon włożę,
i zaniosę ci w pokorze,
niechaj romans się z nich splata,
O, Maryja Anuncjata!

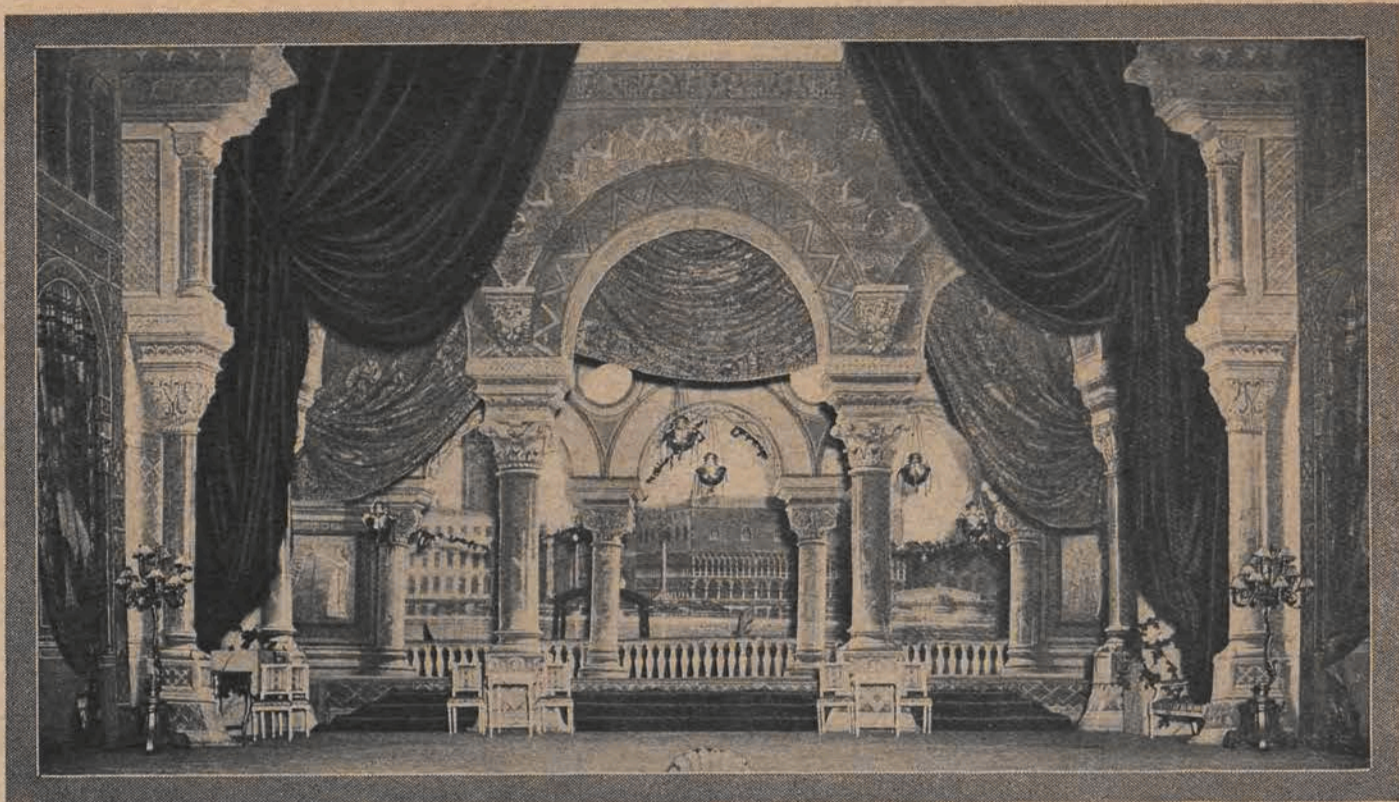
W każdym pęku tkwi wspomnienie,
snują cienie wiotkie ślady,
a przez gąszcz do kaskady
wąż się ślizga po murawie
i przestrasza białe pawie,
z krzykiem frunie biel skrzydlata,
O, Maryja Anuncjata!

Gdy zakwitną moje róże,
w ich purpurze, wielkiej treści
jedno słowo się pomieści...
Więc uciekaj precz w obawie,
jak przed śmiercią białe pawie,
niech dźwięk słowa nie dolata,
O, Maryja Anuncjata!

WITOLD BUNIKIEWICZ

Pozłocista węża łuska
trawnik muska, ziębi zioła,
tyś podobna do anioła,
biała lilja na gazonie,
grzech cię żaden nie owionie,
nie wiesz, co pokusy świata,
O Maryja Anuncjata!

Nie bierz krwawych róż do ręki,
Odrzuć pęki — niech przepadną,
Każdy kwiat zna mowę zradną
i węzowe skrywa śliny,
w serca wgryza się głębiny,
niesciszony ból wyswata,
O, Maryja Anuncjata!



Dekoracja III-go aktu projektowana przez W. Drabikę

CASANOVA

Ale który Casanova: czy de Saingalt czy de Nowości? Jest bowiem dwóch ludzi, używających tego sławnego nazwiska. Jeden, to genialny awanturnik z osiemnastego stulecia, autor pamiętników, przez zachód cały czytanych, a zwłaszcza przez tych, co nie mogąc już przyglądać się miłości własnej, z zapalem — w źrenicach — patrzą na miłość cudzą — a drugi, wykoncypowany przez pana Juliusza Krzewińskiego, jako libretto do opery Ludomira Różyckiego: Casanova.

Z tych dwóch ludzi jeden jest szalenie i chrońnicznie wezbranem morzem życia, dla którego opisanie trzeba było aż dwunastu do czternastu tomów (jak w wydaniu paryskim braci Garnier 1910), a drugi figurą papierową. Jest on, ten drugi — pierwszym ze statystów na scenie i całkiem bezbarwnym a mdłym ośrodkiem mnóstwa pięknych śpiewów, duetów, tańców, które narzeczcie urodziły się na scenie teatru Wielkiego i zamknęły sto gęb reklamie, rozdzierającej całemu miastu uszy słowem barbarzyńskim Cassanova.

Są w przeżyciach wielkiego donżuana i eroto-

mana, gracza, artysty, dyplomaty, oficera, historyka, (który i o Polsce pisał), muzyka, poety, prawnika, lekarza, niedoszłego księdza, a przede wszystkim zawsze i wszędzie uwodzającego uwodziciela — dwa momenty tak efektowne i mocne, jak gdyby je wyreżyserowali wszyscy operatorowie opery warszawskiej razem wzięci. Pierwszy, to słynna ucieczka z więzienia pod ołowianym dachem pałacu Dożów w Wenecji; wzbudziła ona podziw świata całego i wszystkich królów, z którymi Casanova był zaprzyjaźniony. Był to czyn niesłychanej brawury, o którym czyta się i dzisiaj jesz-

cze z zapartym oddechem. Była to eskapada renesansowego szaleńca-condotiera, który ledwo znalazł się za granicami lagun — zaczął wolny żywot od zbałamucenia pani domu, w którym znalazł schronienie.

Drugi, szczególnie interesujący dla Polaka, to pobyt na dworze Stanisława Augusta, o którym klasyk i łacinnik Casanova powiedział, że jest jedynym monarchą, naprawdę znającym łacinę. Musiał stąd uchodzić, pomimo wyróżniającej sympatji króla —



Julian Krzewiński i Ludomir Różycki



A. Czapska w roli Coton



Marja Mokrzycka w roli Fatmy

Fot. J. Malarski

po zwadzie i pojedynku z hr. Branickim. Za ciężkie postrzelenie przeciwnika Włoch omal nie został rozniesiony na szablach i cudem tylko uszedł z życiem z Polski; pomimo, iż sam ciężko ranny, przyszły hetman wspaniałomyślnie a po rycersku osłaniał go swą możną opieką i dał glejt na drogę.

Na tych epizodach chciał widocznie oprzeć akcję Różycki, czy też Krzewiński. Ale tu, niestety, markizowi de Seingalt p. Krzewiński wyrwał wszystkie tęczowe pióra rajskiego ptaka, a w samych przygodach, godnych pędzla Rostanda, twórcy Cyrana de Bergerac — zostało tyle tylko koloru i świetności, ile ocalił Drabik swemi dekoracjami i kostjumami. Ucieczka zamieniła się na nieco operetkowe „zwianie“ z kochanką z balu, na którym był i prefekt policji. Zatarg z polskim arystokratą, niesłychanie wdzięczny dla pisarza scenicznego, temat, sam przez się sugerujący siłę i najwyższe napięcie — wypadł blado i banalnie. Jest to wielkie spudłowanie — i nic więcej.

Jeżeli Casanova widzi z za grobu ten swój wodnisty, limonadowy cień, to napewno dostaje wodowstrętu.

Innymi słowy: rozdziały z wielkich, sławnych memuarów wybrano trafnie, ale pojęto i przerebiono niefortunnie.

Dlatego więc cała ośnowa baśniowa „Casanovy“ jest rzadka, nikła, żadna. Niczem nie pęta uwagi, nie bierze ani sentymentem ani komizmem.

Opera Różyckiego „bierze“ muzyką. Lwi pazur autora „Meduzy“ i „Erosa i Psychy“ wprawdzie nie zatapia się tym razem aż do krwi i jest właściwie porządnie spiłowany, ale znać po nim drapieżny i rasowy rodowód. Sztuka teatralna ma w sobie zazwyczaj dwie tendencje: chce ostać się wobec publiczności, która zawsze woli łagodne baranki, niż lwy, a jednocześnie — tak nieraz się zdarza — idzie w kierunku swej idei przeważnie artystycznej, buduje swój styl i pilnuje swego pióropusza. Ta druga dążność jest zawsze dumna i arystokratyczna. Owa pierwsza jest zawsze demokratyczna, a właściwie — popularna, często nawet nowo-bogacka. Różycki w tym wypadku posłuchał syreniego głosu tej drugiej. Ale — to, co skomponował dla szerokiej publiczności, jest pełne czaru i wdzięku. Nasi twórcy muzyczni zdobywają się

na uczoną polifonję i wielką mądrość, jak Felicjan Szopski w swych „Liljach“, albo na potężny, masywny patos i całą ciężką artylerję niezliczonej liczby dźwięków, jak Karol Szymanowski w „Hagith“, ale przez ich gąszcz muzyczne trzeba się przedrzeć z toporem farmera. W „Casanovie“ niema gęstwiny, jest przędza lekka, zwiewna, tak cienka, że — łatwo się przedrzeć może.

A gdyby jeszcze ta muzyka Różyckiego nie przypominała tak bezustannie innych jego oper, a niekiedy i nie poddawała wspomnień cudzych oper i melodyj, gdyby nie



Scena baletowa II-go aktu

czuło się w niej pewnego nadmiernego zaopatrzenia w gwiazdy operowe rynkowego sukcesu — to byłaby uroczą. No i oczywiście, gdyby na niej się nie odbijał jałowy, bezsilny rodzaj tekstu. Piękne duety miłosne, partje charakterystyczne dla ilustracji osób czy chwil wesołych lub humorystycznych, siła i rozlewność kantyleny, zawsze czynny i urozmaicony wtór orkiestry, dają bogactwo muzyczne. Walc, wprawdzie nie wyszukany i bardzo blisko spokrewniony z piękniejszym o wiele walcem, na którego kanwie rozpięty jest ostatni akt „Erosa i Psyche” — tutaj stanowi także krosna ostatniego aktu (na premierze był on drugim) i otacza go miłym, pogodnym pięknem.

Najlepszym krytykiem takiego widowiska jest ranek po premierze. W głowie wiruje kilka walców i obraca się kilka barwnych korowodów. Nic głębiej w duszę nie zapadło. „Opera-balet” — takie imię nadaje dzień jutrzejszy „Casanovie”. Czy ma on co wspólnego z wielkim rodzajem „dramatu muzycznego” albo z trudniejszym jeszcze stylem „komedji muzycznej”? Chyba tylko to, że tutaj popisu dla solistów niema, ani dla solistów w balecie, ani dla koryfuszów śpiewu. Ale punkt ciężkości, uciekłszy z Verdi’owskiej lub Meyerbeer’owskiej idei popisu, przeniósł się dokąd, w co? w próżnię. Każdy ma trochę do śpiewania i trochę do tańczenia, ale nikt nie służy jednolitemu logicznemu dziełu. Toż można w niem tasować akty, jak karty.

Oczywiście śpiewają dobrze: p. Dygas, Orda jako Branicki; pp. Czapska, Mokrzycka i Maniewiczówna, jako Coton, Zelma i Fatma, ofiary

Casanovy, ta najrealniejsza część koncepcji. Piękny jest i stosownie obsadzony, jako Stanisław August, p. Iwo. P. Kawalski, jako reżyser, napęłnił scenę ruchem i bieganiem. Drabik — pięknie połączył stare dekoracje w nowe, Łazienki ujął czarująco. Krawcy i krawczynie zszyli sto pysznych kostjumów, a p. Rodziński bardzo szczęśliwie rozdziłby werwę i temperament, gdyby ich nie było tak wiele w samej sztuce.

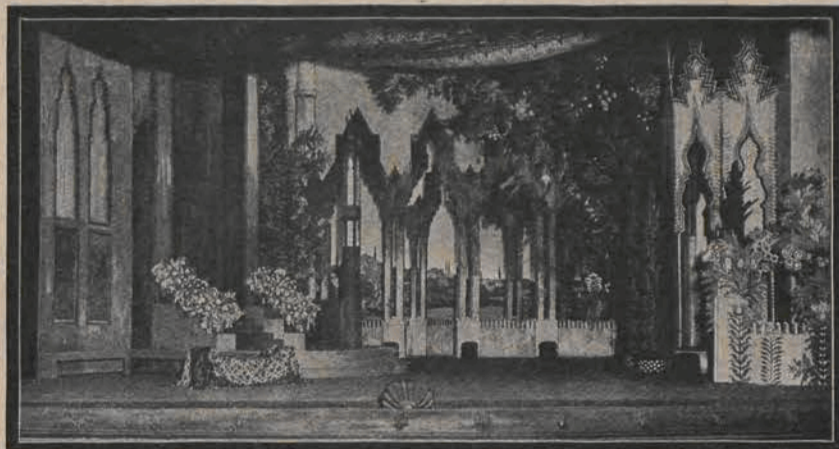
Post scriptum. Kochany Mirku! Nie dziwisz się pewnie, że piszę dziś o Tobie w innym tonie, niż wtedy, kiedy występowałeś w Polsce i zagranicą Twego „Bolesława Śmiałego”, „Erosa i Psyche”. Twoje wspaniałe pieśni, poematy, rzeczy kameralne i na fortepian. Nazywałem Ciebie wtedy „nie-dźwiedziem nieustępliwym” i to przezwisko było najtkliwszą przyjacielską pochwałą. A dzisiaj? Co zostało z niedźwiedzia? Tylko taniec.

Pamiętasz? Wyrzuciłeś hardo z „Meduzy”, kiedyś pisał do niej muzykę, najważniejszą scenę, bez której całość nie ma ani logicznej, ani psychologicznej pełni. Wyrzuciłeś dlatego, że w scenie tej było czarowanie węzów, połączone z ewolucjami choreograficznymi. Uważałeś, że ono psułoby czystość linii i obniżyło godność dzieła. Teraz zaś uważasz, że nie tylko baletnicy, ale i śpiewacy, nie tylko śpiewacy, ale i kompozytorowie powinni przed publicznością wykonywać zalotne pas.

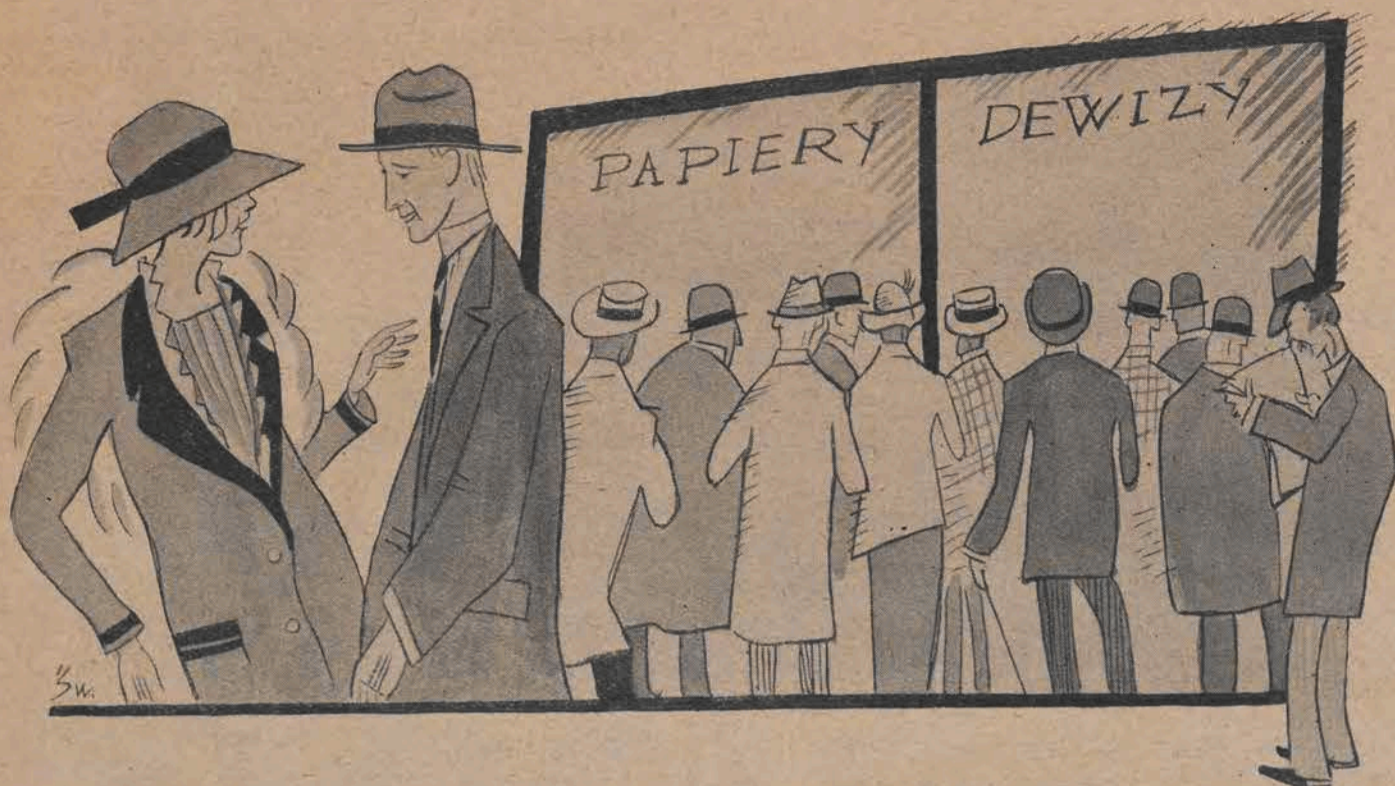
O quantum mutatus ab illo!

Twój wierny

CEZ. JELLENTA



Dekoracja aktu I-go projektowana przez W. Drabikę



NA HUŚTAWCE AŻJOTAŻU

(Z CYKLU: PANI LALA)

W piękny, upalny dzień czerwcowy, na który to dzień urzędowa stacja meteorologiczna sygnalizowała „chłód, silne zachmurzenie i długotrwałe deszcze”, idąc Nowym-Swiatem, stanąłem na rogu Alei 3-go Maja, zagapiiony w beczelnie lazurową perspektywę zawiślańskich widnokręgów.

— Nawet chodząc po ulicy, musi pan bujać po obłokach, panie Kaziu? — uderzył w mą kontemplację dzwonek głosu pani Lali. — Cóż pan tam znów takiego zobaczył?

— Typowo polskie nieposzanowanie władzy. Całuję rączki! Przepisowo miało dziś łać jak z cebra, a tymczasem?... I jakże żądać lojalności od obywateli, gdy samo niebo, na które patrzę ze słusznym wyrzutem...

— Zamiast patrzeć nań z jeszcze słusniejszą wdzięcznością, że pozwoliło panu spotkać mnie na swojej drodze dziś właśnie...

— Czemu „dziś?” i dlaczego to „właśnie?”

— Dysponuje pan jakim wolnym kapitałem? Radabym, ażeby pan skorzystał z okazji.

— Nareszcie! Pani! Cały żelazny kapitał mego sentymentu i cały remanent mych sił czeka na zapotrzebowanie ze strony pani...

— Ee! Któż za taki kapitał zdobędzie akcje?

— Jeżeli się dotąd nie zdobył, o pani! na akcję, jest to raczej wina mej starokawalerskiej nieśmiałości...

— Gdy tymczasem ludzie na akcjach zarabiają setki milionów.

— Jaby miał na tem jeszcze zarabiać? To pani mnie nie zna!

— Niema się czego oburzać. Jest to nawet czyn obywatelski. Walka ze spadkiem marki! Popieranie rozwoju tego... no! industrjackiego. Zresztą pan, jako literat, powinien wiedzieć o tem lepiej ode mnie.

— Na miły Bóg, o czym?

— Że jest „hossa” na giełdzie! Proszę na mnie zaczekać. Muszę sobie kupić w tym sklepie woalkę.

„Hossa” na giełdzie?... Cóż to może obchodzić literata? Zabawna jest czasem ta pani Lala. Właśnie idzie kolega dramaturg z jakimś malarzem. Opowiem im o tej jakiejś „hossie”. Podchodzę.

— Uważa kolega — powiada dramaturg do malarza — namówili mnie na „Firleje”, kupiłem 100 po 19, czekałem tydzień — nic, sprzedałem po 23, a dziś płacę po 60!! Pstakrew pech! — co?

— Ja bo w stosunku do „hossy” powoduję się intuicją. Powiada mi mój golarz: „Siła i światło — galgan!”, a ja przeczekałem sobie miesiąc i dziś z 21 są 53! Zarobiłem ładne paręnaście milionów.

Czuje, że mi wstyd. Podchodzę jednak, witam się i, milcząc, czerpię uchem głęboką mądrość o „hossie”.

— Zobaczmy, jak tam dziś kursy — powiada dramaturg i podchodzi do wystawy jakiegoś banczku. Idę za nimi i patrzę na cedułę, jak Zulus na logarytmy.

— Nie dajcie się, koledzy, nabrać tym oszustom — słyszę nagle za nami głos znajomego muzyka — „Bank Zachodni” podają tu o czterdzieści kilka punktów niżej. Wiem, bo wracam prosto z giełdy.

Jestem unicastwiony. Muzyk mnie dobił. Skromnie słucham artystycznego trialogu, tryskającego fontannami milionowych cyfr i abrakadabrystycznych nazw — „Częstocice”... „Pustelnik”... „Hurt”... „Parowóz”... Boże drogi! Tyle lat zmarnowałem w szkołach, a wobec tak wspaniałej gałęzi wiedzy jestem jak tabaka w rogu... Muzyk trzyma pod pachą, niczem operowy rękopis, rulon jakichś tęczyowych papierów, które powoli rozwija.

— „Lilpop... Rau”... — powiada z westchnieniem dramaturg.

— i „Loewenstein“ — pobożnie dodaje malarz.
 — Właśnie — mówi nonszalancko muzyk — zastawię to za 20 milionów, bo... (i tu zaczyna szeptać, rozglądając się podejrzliwie wokół) — w czwartek posiedzenie zarządu w Handlowym... puszczą nową emisję... „Handlówka“ podskoczy... łapać poki czas!...

— Serdeczne dzięki! — ściskają go za ręce dramaturg i malarz.

— Mam wolne 6 milionów!

— Ja też lecę kupić. Good bay! — Rozlecieli się w dwie strony.

— Przepraszam kolegę — zatrzymuję odfruwającego z rulonem muzyka — skąd, u diabła, doszliście do takiej fortuny? Operujecie milionami, jak astronom, a przecie przed rokiem...

— Pożyczyłem sobie od was 50.000. Tak jest. Pamiętam i oddam przy okazji. Miljoniki dała mi „hossa!“ Koledze też radziłbym się umizgnąć do tej filutki... — Rzekł i znikł.

— Ah! to okropne, panie Kaziu! — wyrwa mnie z oszołomienia pani Lala.

— Co się stało?

— „Cegielski“ spadł na łeb i szyję!... dowiedzia-
 działam się przed chwilą od panny sklepowej! Rozpacz-
 cza biedaczka...

— Nie znam wprawdzie pana Cegielskiego, ale współczuję. Bardzo się potłukł? Czy to jakiś krewny tej panny?

— Pan by się powinien pokazywać za pieniądze. „Cegielski“ to akcje!

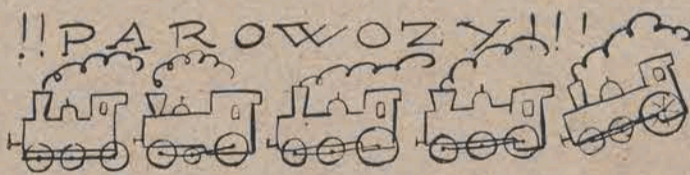
Znowu akcje! Przysięgam sobie w duchu kupić dziś jeszcze u antykwaryusza „Podręcznik do nauki o akcjach“ i nie pokazywać się ludziom na oczy, póki nie wykuję go napamięć, jak sztubak do matury.

— A namawiał mnie pan Munio na „Cegielskiego“, dobrze, żem już była grubo zaangażowana w „Cmielowie“. Więc jakże? Chce pan zrobić w krótkim czasie majątek, jak w romansie?...

To mnie przekonało doreszty.

— Jeżeli „jak w romansie“, to nie byłbym literatem, gdybym nie chciał.

— Niechże mi pan wobec tego przywiezie dziś o piątej bodaj z milion, zagramy do spółki. Będę pana maskotą. Adieu.



Idąc do domu po ów „bodaj z milion“, poczęłem go sobie mobilizować w mózgu, wyczarowując przypuszczalną dla sprzedaży wartość mych precjozów: „możnaby spuścić to stare sportowe ubranie... włącznie z bucikami... dochodzi à conto za przyszłą nowelę w „Pani“... sprzedać ten szkic ołówkowy Wojtkiewicza ze ściany (co ma wisieć? — niech utonie!...) mało!... trzeba, jak Ifigenję, poświęcić prawdziwie srebrną papierośnicę... i tę mosiężną lampę z abażurem (prymus jest bądź co bądź potrzebny)... mało!... cóż u licha! jeszcze nie jest tak źle, bym brakujące pół miliona nie pożyczył od kogo w biegu na słowo!... Łatwo powiedzieć: „milion...“, a to jednak stanowi trzydzieści parę przedwojennych rubli!...

Teraz dopiero zrozumiałem, jak poważne ma się zmartwienia, jako kapitalista, i teraz dopiero, stąpając po realnym gruncie cyfr i kalkulacyj, zauważyłem, że cała Warszawa o niczem innym nie mówi, tylko o ażjotażu.

— Babcia mi dała na imieniny 50.000 — chwalił się w Saskim ogrodzie jeden pędrak do drugiego — a ja poprosiłem tatusia, żeby mi zaraz kupić „Starachowice“ — aha!



— Phi — odparło pogardliwie damskie bobo z kolasalnym różowym fiutem na głowce — ja mam dwie prawdziwe „Żyrardowy“, a nie chwale się.

Przechodzi dwóch znajomych lekarzy.

— Powiadam koledze — słyszę urywek zdania — że żaden puls u żadnego chorego tak mi się nie opłacił, jak ten „Fr. Puls“, którego 125 akcji kupiłem przed miesiącem.

— Ciśnij się, ociec, przed kim innym ze swoim „Pociskiem“ — przekpiwa na rogu dryndziarz posłańca — mnie ta obstojom moje „Parowozy“.

Nawet stróż, mój filozoficzny abnegat-Franciszek...

— Jak tam z windą — pytam go — zreperowana?

— Jeszcze jak. Wali teraz, panie, w górę, jak „Rudzki i S-ka“.

— To i Franciszek gra na giełdzie?

— Ii, proszę ja pana, z całej Warszawy to nie gra tylko Puniatowski na Saskim placu, bo sie jeszcze nie zdążył rozglądnąć w sytuacji.

Zatem narazie tylko — nas dwóch: Poniatowski i ja. Lecz o piątej, gdy po sfinansowaniu lwiej części mych nieruchomości wkraczał z milionem do apartamentów pani Lali, liczba osób, nie grających na giełdzie w Warszawie, zmniejszyła się o 50%.

W buduarze pani Lali — wieża Babel. Wprawdzie nie zdziwiłbym się, gdybym tam zastał kiedykolwiek Pytłasińskiego z kardynałem, lub Focha z Kuleszą, lecz dzisiejsza sosjeta była nad wyraz dziwna. Towarzyski cakes szpikowany klubem, Lursem, placem Bankowym...

Smak nadawała mu pani Lala, jak Pytja z trójnożu rzucająca z bujanego fotela zagadkowemi orakulami cyfr i nazw, od których robiło mi się słabo z nieprzyzwyczajenia.

— Więc trzy miliony z panem do spółki na „Chodorów“... „Tepege“ ewentualnie piąta emisja — 100, ale z panem do spółki... „Wielkie piece“ — dobrze, ale i Kizia i pan Przecławski... naturalnie ze mną do spółki... Ślicznie, że pan przyszedł, panie Kaziu. Co by pan radził — zwróciła się do rozpartego obok bezwzględnego bruneta z notesem w ręce.

— Chcesz pan „Lenartowicza“? — spytał mnie brunet.

— Jeżeli mam być szczerzy — odpartem — to wolałbym Syrokomlę.

— „Syrokomle“?... Co jest?... Świżo wypuszczone? By z honorem wyjść z opresji, brnąłem dalej.

— Naturalnie, równocześnie z... „Tatarakiem“... to jest... z „Tartakiem“ i „Pstypstoliną“. Dostali rządowe zamówienie, wiem od znajomego ministra.

— Nie mów pan tak na wynos. Zrobimy interes sami.

— O, to są literaci — zawołała, patrząc na mnie z zachwytem, pani Lala — udaje niewiniątko, a wie, jak trawa rośnie.

— To jak się nazywa?... „Pipsto“... co?

— „Pstypstolina“ — fabryka motorów dla aparatów bezsilnikowych. Służę pani, oto mój skromny milion.

— Robimy spółkę, panie Kaziu. Pan daje kapitał, a ja pracę. Zyski do połowy.

— Z pana literata będzie fajny „szyber“ — poklepał mnie brunet — tylko mów pan coś, jak pan wiesz. My się panem zaopiekamy.

Od tej pory codziennie zarabiałem (telefonicznie

od pani Lali) krocie, straciłem natomiast sen i apetyt. Ulubioną moją lekturą stały się ceduły. Znam nawyrywki wszystkie kursy wszystkich akcji. Pani Lala kocha się we mnie poprostu i jak najczulsza siostra opiekuje się memi zyskami, kupując za nie nowe akcje, swoje zaś zyski, mimo moje rady, zużytkowując lekkomyślnie na kupno kapeluszy, perfum i t. p. Nagle, przed paru dniami — piorun! (stacja meteorologiczna sygnalizowała „bezchmurną pogodę“). Telefonuję do pani Lali.

— Hallo! Całuję rączki. Dużośmy zarobili wczoraj?

— Proszę tak nie krzyzczyć i nie przysuwać się tak blisko, bo mnie głowa boli.

— Pardon, ale przecież od przybytku...

— Jakiego przybytku? „Bessa“ na całej linii!

— Be... be...

— Proszę nie beczyć. Tak jest — „bessa“. Straciłam przez pana tę pelerynę, com miała dziś kupić.

— Przemennie?

— Dobry sobie. A kto mnie na spółkę namówił?

Całe szczęście, że lokowałam pieniądze w rzeczach niezbędnych, a nie w jakichś głupich akcjach...

— Zatem niech pani każe moje akcje sprzedać...

— Żeby straciła? Pan jest miły współnik...

— Cóż tedy robić?

— Czekać, póki sama nie zadzwonię.

I oto teraz z dniem każdym obliczam me krociowe straty i czekam „hossy“ i telefonu od pani Lali. Według moich obliczeń jestem już kilka milionów dłużny tej nieszczęśliwej ofercie moich spekulacyjnych instynktów.

Wczoraj zwierzył mi się stróż Franciszek, że słyszał od znajomego kelnera, jakoby jeden z tuzów gwiazd baletowych miał przyobieczać w gabinecie restauracyjnym jednej z gwiazd baletowych, że wkrótce zrobi się „hossa“.

Odtąd klucz mego bytu — w rękach Franciszka.

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI



W ATMOSFERZE TEATRU

Jeżeli w kochającym się małżeństwie żona jest kokietką, a mąż jest człowiekiem zazdrosnym, to wynikają stąd wkoło ogniska rodzinnego sytuacje hałaśliwe, dramatyczne okrzyki i „dziwnie” głębokie a gorączkowe spory psychologiczne. Terminologia, używana w tych dialogach nieplatonickich, bywa czasami bardzo bogata, przecież w kulminacyjnym momencie dyskusyjnej podniety wniosek męski brzmi zwykle: „Pogardzam tobą!” a wniosek niewieści: „Nienawidzę cię z całej duszy!” w przekładzie na zdrowy chłopski rozum obydwaj wnioski w kolejnym porządku znaczą: „kocham cię, więc mnie na miłość boską, nie denerwuj robieniem perskiego oka do byle durnial” „Idjoto! czy nie widzisz, że nie mogę bez ciebie żyć!?”.

Na temat tej prawdy napisał trzy długie akty węgierski publicysta, p. Lokatos, nazwał je „Mąż i żona”, co — w słusznym szacunku dla Fredry — polski tłumacz przełożył na „Mężczyznę i kobietę”, a w Rozmaitościach, szalując się ciągle jeszcze w ogrodzie Saskim, pan dyr. Solski powierzył mężczyznę interpretacji p. Fritschego, kobietę zaś interpretacji p. Dulębianki. Drugi akt wyświetla scenę, która przejmie mrozem każdego amanta: schwywanie na gorącym uczynku sięgania po umiłowaną, a cudzą kobietę. Pozbawionym wdzięku amantem był p. Nowacki. Pozbawionych wdzięku amantów jest na świecie znacznie więcej, niż się przypuszcza. P. Chaberski (reżyser) zapragnął, aby utwór p. Lokatosa grano bez suflera. Więc go grano bez suflera. Ale grano go w najważniejszej roli męskiej w ten sposób, jak wydaje lekcję niepewny sobie uczeń. Zaiste, niewielka sztuka mówić

wiersz w takim sposobie: „Paweł i Gawęł w jednym stali domu, w jednym stali domu. Paweł na górze, Paweł na górze. Gawęł na dole, Gawęł na dole. Paweł spokojny, nie wadził nikomu, nikomu, nikomu...” etc. Czasem widownię męczy sufler, czasem znów brak suflera.

Na przedstawieniu „Hau-hau” sztuki conandoylizującej, napisanej przez dwóch Anglików, pp. Hodges’a i Higney’a Percywal’a, wybornej granej przez pp. Zelwerowicza, Maszyńskiego (zwłaszcza przez nich dwóch, a jeszcze bardziej zwłaszcza przez pierwszego) i przez pp. Biegańskiego, Bry-

dzińską, Bogusińskiego, Warneckiego i Gielniewskiego, otóż na premierze tej sztuki pewna pani, gdy umilkły oklaski, tak do mnie rzekła w antrakcie, gdy ją zapytałem o doznane dopiero co wrażenia: „Pierwotne uczucie metafizyczne, czyli bezpośrednie pojmowanie jedności w wielości jako takiej, polaryzuje się w całości jego psychiki, aby stać się następnie zobjektywizowaną, oderwaną konstrukcją czystej formy, taką a nie inną, i noszącą w sobie ślady samego procesu indywidualizacji, bez której niema prawdziwego dzieła sztuki. „Hau-hau” nie wykwiata z uczucia metafizycznego, więc nie ma nic wspólnego z prawdziwym teatrem”.

W następnym antrakcie dowiedziałem się, że pani ta marzy o należeniu do „instytutu” Reduty i śni całymi nocami o niewymownym szczęściu ozdobienia sobą „Ulicy dziwnej” w łazienkowskiej Pomarańczarni. Wróciwszy do domu, przekonałem się, że pierwsze zdanie jej odpowiedzi pochodzi z interesującej książki p. St. Ign. Witkiewicza p. t. „Teatr” (str. 12 u dołu). Mówiąc nawiasem, byłoby bardzo wskazane, żeby członkowie „instytutu” p. Osterwy przestudjowali tę, z wielu względów rzeczywiście zasługującą na poznanie, polemiczną książkę. Kierownicy reformistycznej Reduty dowiedzieliby się, zapewne nie bez zdziwienia, z Witkiewiczowskich kart, dyszących żądzą reformy teatralnej, że np. na „Tragedji Eumenesa” Rittnera dopuścili się niesmacznego gwałtu przez reformowanie jej w duchu futurystycznym. P. St. Ign. Witkiewicz wyraźnie mówi na str. 8-ej: „Przyszłość teatru nie leży w różnych rodzajach interpretacji dzieł już stworzonych, tylko (lecz) w ich



„ZŁODZIEJ”

TEATR KOMEDIA

JERZY LESZCZYŃSKI i MARJA PRZYBYŁKO-POTOCKA

Tea-gown z liberty rose; spód z koronek chantilly i także rękawy z pracowni „Lucyna”

Fot. St. Brzozowski

zupelnie nowym rodzaju" (t. j. nie „ich“, tych stworzonych, lecz w zjawieniu się zupełnie nowych dzieł, dzieł w nowym rodzaju — że tu pozwoli sobie mimochodem doprowadzić myśl p. Witkiewicza do ścisłego jej wyrażenia). Znaczyłoby to, że przyszłość teatru nie zależy od aktorów i reżyserów, ale od autorów. Jestem tego samego zdania.

Skoro już mówimy o „instytucie“ Reduty, to powtórzmy tutaj pogłoskę, która opowiada, że kapituła Reduty wystąpiła z wnioskiem, aby wprowadzić doktoryzowanie się aktorów. Pierwszym honorowym doktorem aktorstwa ma być mianowany p. Szpakiewicz, były *membre de l'Institut Reduty*,



„HAU-HAU“

MARJA BRYDZIŃSKA

TEATR MAŁY

Kapelusz z włosienicy brązowo-złocistej, przybrany owocami i różnobarwnymi wstążkami,
Fot. St. Brzozowski z pracowni „M-me Henriette“

za spolszczenie dzieła Wołkońskiego pod tytułem „Człowiek wyrazisty“.

Tymczasem przecież, bez kapituły, osobiście, z wysokości swojego wielkiego autorytetu, p. Wincenty Rapacki mianował doktorem śmiechu p. Antoniego Fertnera w jego dniu jubileuszowym na scenie Teatru Polskiego. Żywiół został doktorem. Bo komizm p. Fertnera to żywiół: rozpala jak ogień, porywa jak burza.

Ani jeden artysta polski nie posiada tak ogromnej samorodnej siły komicznej, jak p. Fertner. I niewielu artystów umiało tak opłacać skarby przyrodzonego talentu, władać temi skarbami niewielu doprowadziło do takiego mistrzostwa.

WACŁAW GRUBIŃSKI

SYMFONJA IMION

Kochanemu Jarosławowi

Zofja, Laweta, Beatrix, Ambona,
Margot, Aida, Carmen, Hagith, Toska,
Roleta, Hilda, Komoda, Ruszkowska,
Blanka, Monika, Dziubuś, Antyfona

Elna, Szimena, Granda, Krynolina,
Belina, Fusia, Emma, Laba, Starka,
Dolores, Zupa, Francesca, Kucharka
Madlon, Lawinja, Skamandra, Benegna.

Solange, Rzepicka, Ingeborga, Szmira,
Walerja, Jadźka, Lydja, Hacefira —
Renata, Pinda, Eunice Flora.

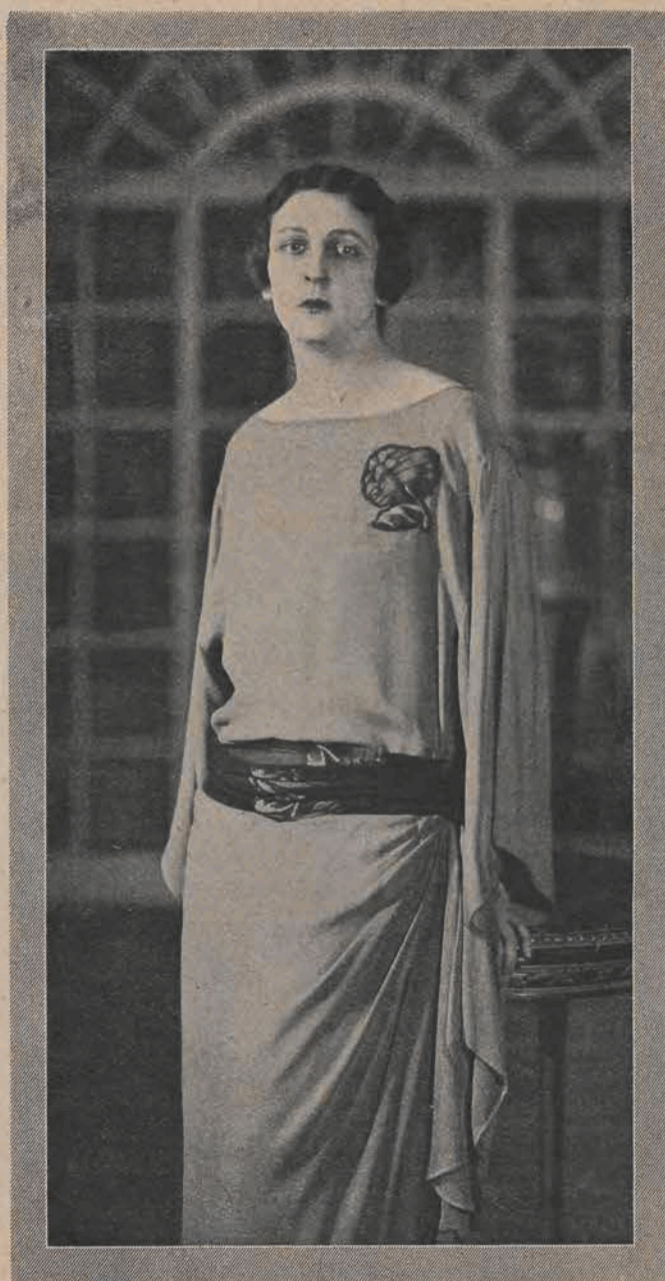
Kalina, Rachel, Anuncjata, Glorja,
Dagmara, Xenia, Lodzia, Wernyhora,
Psychoterapja, Gambetta, Astorja.

JAN LECHOŃ

TOALETA NA SCENIE

Jak kobieta, która u schyłku swej młodości roztacza cały przepych swych powabów, aby przyciągnąć wielbicieli, tak i scena nasza na schyłku sezonu występuje z całym bogactwem swego repertuaru, aby uwieść widza i zostawić mu na letnie wyuczasy tęsknotę i piękne wspomnienia. Począwszy od Wielkiego Don Juana—do Casanowy, daje nam teatr takie mnóstwo kobiet, jak gdyby rzeczywiście ten prawodzieciel otworzył swoje album i pokazał nam mille e tre przepięknych miłośnic.

Na pierwszej stronie widzimy zaraz czułą wielbicielekę wielkiego don Juana, p. Gromnicką, która



„ZŁODZIEJ”

TEATR KOMEDJA

p. Hatacińska — Gawlikowska w sukni z *crépe de chiné* u fraise z haftem kolorowym

Fot. St. Brzozowski



„KSIĘŻNICZKA OLALA”

TEATR NOWOŚCI

Elna Gistedt w sukni ze złotej lamy *matelassé*, przybranej fioletową *georgetta*

Fot. St. Brzozowski

czy jako Zerlina, czy też w pastelowych tonach kostjumu *vert amande* jest uosobieniem liryzmu; jaskrawym kontrastem odbija od niej druga odrażona demoniczna kochanka, pani Broniszówna. Odwracamy następną kartę albumu i widzimy uśmiechniętą zalotnie twarzączkę p. Brydzińskiej, obromowaną blond lokami; jest to młodziutka miss z Hau-hau, która w sukience z żółtej fulgurante wygląda jak wycięta ze starego angielskiego sztychu.

Ale nietylko dobre i czułe kobiety przyciągają oko Don Juana; przewracamy kartę i widzimy p. Przybyłko w roli przebiegłej, złej i przewrotnej



„ZŁODZIEJ”

St. Daczyński i Marja Przybytko-Potocka w sukni z białej crêpe georgette'y na fond liberty, a listki z crêpe georgette czarnej, z pracowni „Lucyna”

TEATR KOMEDJA

Fot. St. Brzozowski



„WIELKI DON JUAN”

p. Gromnicka w sukni wełnianej koloru vert amande, z pelerynką tegoż koloru, przybraną szarem futrem, z pracowni G. Zmigrydera

TEATR POLSKI



„HAU-HAU”

p. Marja Brydzińska w sukni z plisowanej białej georgetty, z pracowni Gustawa Zmigrydera

TEATR MAŁY

Fot. St. Brzozowski

kobiety, która dla fatałaszków popełnia nawet kradzież; ale tak pięknie wygląda w bogatym negligu z koronek i różowego jedwabiu, że dostaje rozgrzeszenie nietylko od męża, ale i całej widowni.

Na zakończenie nie można pominąć p. Gistedt w księżniczce Olala, która, czy pięknie ubrana, czy pikantnie rozebrana, nigdy nie gorszy najsroźszych sensatów, gdyż ma we wszystkim linję i umiar.

HEL. Z.

Lato w pełni

Ze nam przyroda figle złośliwie dotąd płatała, nadużywając naszej cierpliwości bezkarnie choć karygodnie — nie znaczy przecież, że lata niema. Da się to wielokrotnie a niezbicie udowodnić: 1-o kalendarzem, 2-o wyjazdami na letniska, do kąpiel, nad morze, 3-o modą, która wypowiedziała się już ostatecznie nowymi kreacjami letnimi, 4-o oknami wystawowymi, przed którymi otulone w futra panie drżą na samą myśl tylko, że te wszystkie pajęczne tkaniny są właśnie odpowiedniemi na czerwiec „okryciem“.

Piszę jednak te słowa pełne słusznego „sarkazmu“ w chwili, gdy deszcz, zimnym popędzany

wiatrem, wygrywa na szybach inny całkiem temat, — jak „lato w pełni“. Pozostała nam więc tylko jedna niezawodna pociecha, że oto aura zmienić się raz przecież *musi*, i może wkrótce zakończy się jej spór z sezonem mody traktatem „pogodowym“. A może nawet w tej chwili, gdy tylko tak cudnie marzę, w szczęśliwych krajach Zachodu podpisane już zostały preliminarja pokojowe i słońce dokonało najradośniejszego przewrotu politycznego, na który bez zastrzeżeń godzą się wszystkie stronnictwa świata?

A więc „ex Occidente lux“ a raczej „luxus!“

O, bo uroda letnia może być

także rozrzutna! Jest bowiem przede wszystkim ilościowo mocno wymagająca. I słuszenie. Trzeba przecież kufry i walizy podróżne solidnie napełnić. Nie mówię już o pantofelkach, pończochach, rękawiczkach, parasolkach, kapeluszach, ale właśnie o samych kostjumach, sukniach, płaszczach.

Gdy pani wyjeżdża na odpoczynek, wie już zgóry, że trzy czwarte czasu poświęci na — wybieranie się. A odpocznie pani naprawdę tylko wtedy, gdy metamorfozami toaletowymi nie da się żadnej z pań prześcignąć. Radzę więc dla dobra nerwów, radzę życzliwie, pamiętać o tem przed wyjazdem i nie wodzić pa-



1) Suknia wieczorowa z brązowego velour chiffonu ze złotą koronką; 2) Suknia biała crêpe de chine z granatowym haftem; 3) Suknia z crêpe marocain lilas plisowana; 4) Crêpe marocain beige boki z plisowanej brązowej georgette'y; 5) Suknia vert amande przybrana pasami plisowanemi z tego samego materjału



JANINA OWCZARSKA

„Zdobycie Twierdzy” Teatr Polski
Suknia taffetas changeant vert jaune z pra-
cowni „Lucyna” Fot. St. Brzozowski

nów ojców i małżonków masko-
waną skromnością. Może się to
bowiem odbić bardzo ujemnie na
przyszłym, powakacyjnym spo-
koju domowym. Wróci pani z wy-
wczasów zdenerwowana, pokrzyw-
dzona i to z własnej winy.

Trzeba więc pamiętać o ko-
stjumach na przedpołudnie, o suk-
niach do obiadu, czy to w wy-
kwintnej restauracji, czy przy

tabldocie w pesjonacie, o sukniach
spacerowych na deptaku, o suk-
niach wieczorowych do kolacji
i dancingu, o sukniach na wyścigi.
Trzeba pamiętać o sportowym
przyodziewku (golf, tenis, wio-
słowanie, turystyka, jazda konna
i t. d.). Trzeba też pomyśleć o ko-
stjumie podróżnym, o płaszczu do
auta. Niemniej też nie wolno za-
pomnieć o płaszczach i kołnier-
zach futrzanych.

Niezupełny to wyimek tylko
z długiej listy nieodzownych ża-
dań pani. Idzie bowiem jeszcze
cała kolumna bluzek, dessoux
i wszelkich bieliznianych koniecz-
ności. Bez wątpienia, jest o czym
myśleć w dniach przygotowań do
wyjazdu!

Przychodzę więc z pomocą,
na jaką mnie stać:

Proszę, niech pani dobrze się
przyjrzy „Pani” z kwietnia i maja.
Znajdzie tam pani sporo ślicz-
nych i efektownych modeli. Nie
powstydzi się pani tych sukien
nawet zagranicą! Od siebie do-
dam jeszcze, że obok falban, pli-
sowań, obok sukienek stylowych
z organdy — spódnica zaczyna się
już formować w dzwon, a w ręk-
kawach należy zanotować tenden-
cję do bufiastości. Ponadto pole-
cam do sukien, zwłaszcza białych,
barwne, lub czarne luźne żakie-
ciki, często nawet bez rękawów.
Bardzo to ładne, a nawet prak-
tyczne.

Służąc radą wyjeżdżającym
a tem samem szczęśliwym paniom,
nie zapominam i o tych, które
zostają w mieście. (Nawet ich nie
potępiam!) Sądzę, że i one mogą
tu użyć mody dowolni, choć
mniej strojnie i mniej barwnie.
Miasto wymaga przedewszystkiem
kostjumy, a gdy już bardzo upal-
nie, to białej sukni. Parki, pełne
słońca i zieleni, nie pogniewają się na
plamy barwnych su-
kien. Wyścigi znowu



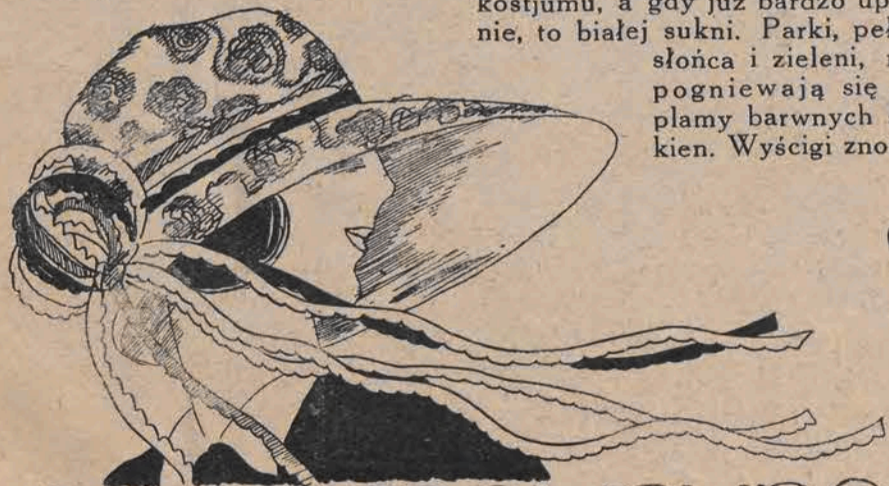
JANINA OWCZARSKA

„Zdobycie Twierdzy” Teatr Polski
Suknia plisowana z popietatego crêpe de chine'u,
żakiecik z tureckiej materji Fot. St. Brzozowski

mają pretensje do małych ekstra-
wagancji. Tak, nawet w sezonie
ogórkowym miasto ma swe wy-
magania, które są często nakazem
pod grozą najprzykrzejszego epi-
tetu: „shoking”.

Zdaje mi się, że wizja „lata
w pełni” podziałała nawet na po-
godę, bo deszcz ustał właśnie
a słońce porozumiewawczo
uśmiechnęło się do mnie przez
szyby. Baczność więc, Szanowne
Panie, idzie prawdziwe
lato!

NINA



SUIVEZ MOI JEUNE HOMME

Taki kapelusz sprawiłabym sobie



Crêpe marocain vert amande, przybranie z ciemnozielonych liści



Aksamitny czarny cloche z dużą wiałką przymocowaną do rąk

z materji słomowej i włosienia. Fizjonomję jednak nadaje dopiero kapeluszowi przybranie. Ono to właściwie wyraża, jaki jest cel kapelusza, daje mu, rzecz można, rangę, wyznaczając zakres służby najmilszej, bo na uroczej główce — pani.

NINA

Minęły już te czasy, kiedy na zimę obowiązywał kapelusz filcowy a na lato słomkowy. Poprzesuwały się te „materjalne“ sprawy i popłatały tak dziwnie, że wnet, a w zimie słoma będzie ostatnim krzykiem mody, skoro czerwiec upodobał sobie w filcu, sierpień już w aksamicie, a zaś jedwab zagarnął dla siebie bezsezonowo wszystkie miesiące roku. Zresztą kapelusz nie chadza luzem. Zawarł on spółkę z suknią, kostjumem, czy płaszczem, spółkę bardzo zgodną pod względem barwy, fasonu, materiału. A wyszli na tem spółnicy doskonale, wbrew owemu uczciwemu dwuwierszowi: „czyń każdy w swem kółku, coć każe duch boży, a całość sama się złoży“. Nie, naprawdę, nie złoży się sama, może dlatego właśnie, że moda nie ma nic wspólnego z uczciwością, a duch boży nie interesuje się nią zbytnio. Przypominam na dowód obojętności boskiej, że w raju Ewa sama musiała dopiero pomyśleć o jakiej takiej sukience.

Ale te przykre incydenty z Edenu są już przedawnione i zbyt srogo osądzone, a miały tylko tyle wspólnego z kapeluszami, o ile były modne — rajskie ptaki. Teraz ptak ten, wygnany z państwa mody, buja sobie na swobodzie. Wogóle ornitologia, zaniedbana obecnie prawie zupełnie, zastąpiona została wstążką. Można by powiedzieć, że „rubanizm“ (od ruban) w modzie kapeluszowej zapanował zwycięsko i teraz rozmaicie wypiętrza się, układa, wystrzela ku górze, tasiemcowo się wiję, fantazyjnie rozstrzępia, w rozety i gwiazdy się rysuje, w bukiety rozkwita, mieniać się, a nawet pokrzykując barwami.

Lecz i kwiatom pozwoliła moda rozkwitać i przekwitać na kapeluszach, gdzie niegdzie tuż obok wstążki w splocie przyjaznym, albo samotnie na pochyłym rondzie, lub też poprzez mgłę koronki przeglądające.

Co do formy utrzymuje się wciąż jeszcze kanton: mały kapelusz do płaszcza i kostjumu, duży do sukni. Przytem lato bardzo logicznie zatrzymało kształt kloszowy ronda. W tych zasadniczych ramach sztuka modniarska zupełnie swobodnie przeprowadza swe pomysły: więc plisowania z krepy, kombinowanie filcu z matowemi jedwabiami, koronkowe cuda, lub przedziwne osiąga się efekty



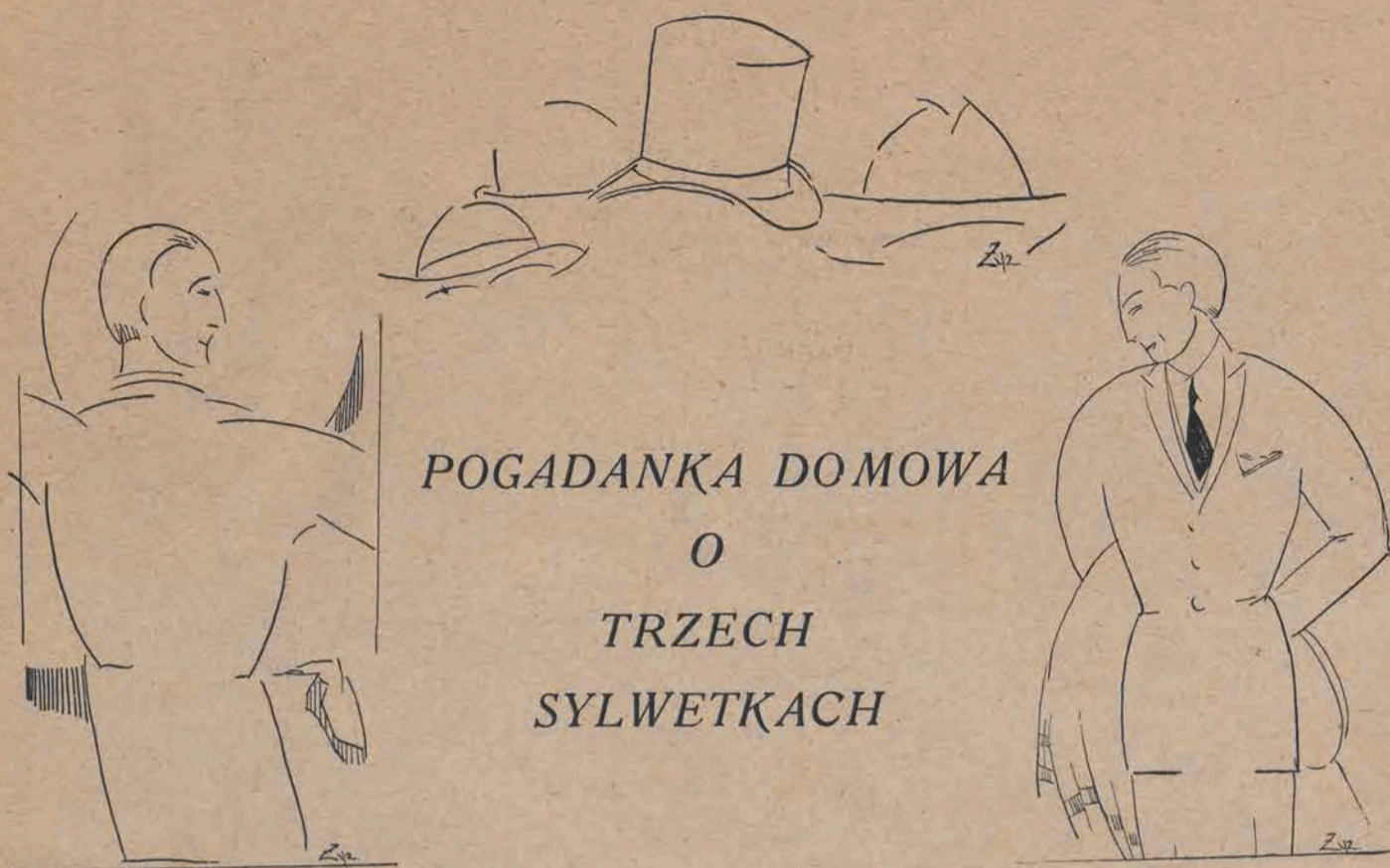
Bronzowy velour chiffon z dużą kokardą z wstążki



Duży cloche z włosienicowej koronki, kokarda z wstążki w kratę



Mały kapelusik „Gamin“ z białego repsu, przybrany złotą brokatelą



POGADANKA DOMOWA
O
TRZECH
SYLWETKACH

Kolega mój J. Z. w poprzednim n-rze „Pani” pisząc o modzie męskiej, tak zaczyna swoje wywody. „Czem dla wykwintej kobiety jest Paryż, tem dla eleganckiego mężczyzny, w dobrem tego słowa znaczeniu, jest Londyn”. Jeżeli w powyższym zdaniu zamienimy „jest Londyn” na „był Londyn” — będziemy nieco bliżsi prawdy, bowiem minęły czasy Bond Streetu, przy której to ulicy ubierał się pierwszy *dandy angielski* — spędzający większą część swego żywota w Paryżu — i *snob francuski* golfowo-tennisowy, szukający żony w Anglii.

Człowiek, do którego się jedzie przez „morską chorobę”, a w ojczyźnie jego oglądać go można przez mgłę, człowiek, zwany Anglikiem, który musi zadzierać nosa i udawać godność, bo zasadniczo jej nie posiada, wyrócił się po wielkiej wojnie z kretešem.

Anglik, jako przykład dodatni, przepadł, jako ujemny, spotężniał.

Zdystansowany przez swoich sąsiadów na polu sportu, zgoła nie rycerz, och, i nie bohater na

polu bitewnym, megaloman-zdrośnik, Lloyd-George, pick-pocquet, Sherlock Holmes, nędzny zwycięzca Boerów, zgubił się w opinii świata ostatecznie podczas wojny europejskiej.

„Ubierać się po angielsku — to znaczy ubierać się dobrze” — pisze mój kolega. Mojem zdaniem ubierać się po angielsku — to znaczy ubierać się nieodpowiednio, więc — źle. Przymioty wewnętrzne muszą się wyrażać w odpowiedni sposób nazewnątr. Anglik, ubrany cały dzień à la *comis-voyageur* z natury, charakteru i powołania, agent, bądź śledczy, bądź handlowy, nie ma nic wspólnego z Polakiem, który, że jest „*surtout brave*”, nie może się na Anglika wzorować.

Kolega redakcyjny J. Z. błędnie pisze o współczesnej modzie francuskiej, — dając nam niepotrzebnie „pojęcie o bulwarowym elegancie paryskim”, który, jeśli mamy się ubierać wytwornie, wcale nas nie obchodzi, — chwali modę angielską, która przestała już świat obchodzić.

Panująca dziś na całym świecie

wola narodowej niezawisłości musi i powinna wywołać pragnienie tej niezawisłości w każdej dziedzinie życia narodowego, zatem i w dziedzinie mody.

Bliżsi charakterem, usposobieniem, pokrewni wadami i zaletami z Francuzami — Polacy — jeśli ich nie stać jeszcze na własną modę, powinni zwrócić swe podglądające, ciekawe oko w stronę Francji wielkiej, genialnej i bohaterkiej, nie zaś w stronę Anglii, świetnie rozumiejącej się z Krasinem i bardzo przypominającej obecnie Niemcy, właśnie pod względem mody męskiej.

Arystokracja wogóle nie uznawała innej mody, prócz francuskiej. Arystokracja francuska o krwi błękitnej i konserwatywnej nie zna innych krawców, prócz tych z pl. Vendôme, gdzie mistrz sztuki, nietylko upiększania, ile kroju, t. j. „*dopasowania*”, nie raczy rozmawiać z kimś, z jakimś p. X. X. bez „de”, choćby ten miał miliony funtów angielskich, lecz nie miał listu polecającego. Arystokracja żyje tradycją setek lat, nie dziesiątków, do jakich



ogranicza się wspomnienie mody angielskiej.

Stając w obronie mody francuskiej, tej właśnie, która się wywodzi od „Incroyable“, dalej Pierwszego Cesarstwa, muszę sprostować pomyłkę kolegi J. Z., który wzór wiedeńsko-sopocki wziął za modę francuską i dlatego napisał, że Francuz dzisiejszy ubiera się:

„Poszerzone ramiona i piersi, wcięty i wysoki stan (!), ukośne i fantazyjne kieszenie (?), dosyć szerokie i bardzo krótkie spodnie, tysiące (!) kokietyryjnych szczegółików, spiczaste lakierki i jedwabne skarpetki (nawet z rana), do tego kapelusz z szerokiemi rondem i oszołamiający krawat...“

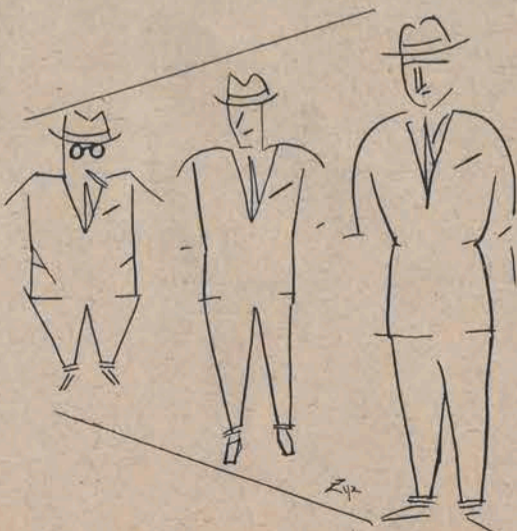
To typ „szajgeca“, nie Francuza, bo ten ubiera się:

„Vetements corrects et bien ajustés, *taille longue* (tak, kolego J. Z.! *couleurs simples et discrets pour les étoffes, allure dégagée,*

cravats sombres, porte le chapeau mou.“

Dzisiejszy Francuz ubiera się dobrze i nie przypomina nam dzisiejszego Anglika, obnoszącego się codziennie à la *comis-voyageur*, a w niedzielę obowiązkowo w *zakiecie* (tak, w *zakiecie!*), ani Amerykanina, tak bardzo przypominającego nam samochód.

ZYZ.





NIECO O PANACII...

Jeżeli się mówi o estetyce i kulturze życia, niepodobna pominąć milczeniem dziedziny stroju męskiego — to też sztuka ubierania się gra bezsprzecznie wybitną rolę w środowiskach ludzi cywilizowanych, i to nietylko w tych społeczeństwach, gdzie próżność jest jednym z silniejszych czynników, pobudzających do działania. „Zły” krawat jest swojego rodzaju „pakowaniem noża do ust”, i zdradza — nieraz bardzo starannie ukrywane — prostackwo.

Mylą się ci, co myślą, że aby się dobrze ubrać, dosyć być bogatym i nosić drogie rzeczy. Czyż nie tak wyglądają oni jak parwenjusz, co palcami powybierał z karty restauracyjnej najdroższe potrawy, odkrywając swe barbarzyństwo nawet przed kelnerem? Ubierać się modnie nie znaczy jeszcze

wcale ubierać się dobrze... Brak kultury wypowie się tu odrazu jakimś drobnym szczegółikiem, jakimś niewłaściwym zastosowa-

niem części stroju do całości... I nic tu nie pomoże, ani dobry krawiec, ani droga bielizna, ani najwykwintniejsze dodatki... Milcząca mowa tych paru przedmiotów, zrobionych z wełny, jedwabiu, zefiru i skóry, jest wymowniejsza nieraz od długich i kwiecistych rekomendacyj.

Postęp zniwelował różnice strojów poszczególnych klas, a marynarka, którą nosi książę Walji, mało się różni od tej, którą kładzie na siebie pierwszy lepszy rzemieślnik z dzielnicy Whitechapel.

Moda dzisiejsza (mówię oczywiście o modzie angielskiej, będącej wyrazem najwybredniejszych gustów) idzie nie po linii podkreślenia indywidualnych cech urody czy zamożności danej jednostki, jak to było np. we Włoszech za czasów wczesnego renesansu; tam żaden człowiek nie chciał być podobny do drugiego, a nawet jedna noga starała się różnić od drugiej chociażby kolorem. Dziś moda stara się o uzgodnienie zasad higieny,



wygody i praktyczności z zasadami piękna, wypływającego nie z pretensjonalności jednostki, silącej się na efekt, lecz ze zrozumienia stroju jako całości najwłaściwszej w danych warunkach czy okolicznościach. Podczas kiedy dawniej tacy wytwornisie z dworu Ludwika XIV, tacy „petits maitres” lub tacy „mirliflores” Ludwika XVI chodzili stale ubrani jak na bal (bieliznę zaś zmieniali raz na parę miesięcy, a pudrem i perfumami starali się zastąpić mydło), dzisiejszy człowiek kulturalny przystosowuje swój strój do poszczególnych warunków bytowania, a poczucie taktu nie pozwala mu na wyróżnianie się z otoczenia. Powstają typy ubrań, wprowadzających nas odrazu w nastrój danej sytuacji, i nikt dziś nie podróżuje w smokingu, ani nie chodzi na bale w ubraniu sportowym.



Rażąca jest postać opięta w czarne korty, sztywną bieliznę i lakierki na tle rozslonecznionej zieleni chociażby wielkomiejskich bulwarów. Rażąca jest postać ubrana w jasny garnitur, miękką bieliznę i żółte obuwie na tle roziskrzonych żyrandoli, błyszczącej posadzki i barwnych plam wieczorowych toalet kobiecych. Sine horyzonty morskie i biały piach plaży domagają się o biel i granat...

Warszawiak chce być elegancki, lecz (pominawszy już nawet dziki szyk niedzielnych szlifibruków, mogących śmiało konkurować ze szczerem murzyńskim Batang-Patang) udaje mu się to niezupełnie i rzadko.

Oślepiiony blaskiem własnych lakierok, z którymi się nie rozstaje przez cały Boży dzień, nie



dostrzeża on, że do jasnego ubrania włożył sztywną frakową koszulę, a tonąc w podziwie własnej sylwetki we wszystkich szybach sklepowych, nie widzi groteskowych kolorów swego krawata i skarpetek, śmiesznie krótkich spodni i karykaturalnych szpiców, które są już, nawiasem mówiąc, niemodne.

Brak mu tej prostoty i poczucia całości, i za często, że tak powiem... „przy-pina on kwiatek do kożucha”.

Tych parę zasadniczych reguł, obowiązujących na całym świecie, da się zdefiniować ostatecznie tak:

Ubrania jasne, sportowe, podróżne wymagają bielizny miękkiej, kolorowej, obuwia czarnego lub żółtego na grubszych podszwach (lakierki wykluczone).

Ubrania ciemne noszone są popołudniu i wieczorem — miękka bielizna ze sztywnym kołnierzem jest najwłaściwsza. Obuwie tylko czarne (lakierki dopuszczalne lecz niekoniecznie).

Wieczorem do teatru lub na bal najodpowiedniejszy smoking lub frak — bielizna biała, sztywna, lakierki obowiązujące (do fraka czółenka — pump’y).

O ubraniach sportowych, dodatkach i bieliznie mówić będziemy w przyszłym numerze.

Tych parę uwag o wyglądzie Panów zakończę znaną maksymą najwykwintniejszego dandy George’a Bryana Brumell —: „Żeby dobrze się ubierać, nie należy nosić rzeczy rzucających się w oczy”.





Wojnow

Match międzypaństwowy Jugosławja—Polska

Dla szerszych tłumów zagranicy obojętne są wady czy zalety oddalonego narodu polskiego. I tak jak po hippicznych konkursach międzynarodowych, w których Polacy wybitnie się wyróżnili, wspominały pisma włoskie, że kilka par kopyt końskich dla międzynarodowej popularności polskiej uczyniły więcej, niż kosztowna propaganda, tak w Wiedniu, Pradze, Budapeszcie i dalej, wszędzie tam, gdzie Jugosławja rozgrywała matche międzypaństwowe, pewne warstwy (a zagranicą dość szerokie i różnorodne) oczekiwały ciekawie wiadomości ze spotkania drużyny Jugosłowiańskiej z reprezentacją Polski, które odbyło się w Krakowie dn. 3 czerwca.

Nikt nie przypuszcza, jakiego respektu uczy wygrany match piłkarski, jaki szacunek i podziw tłumy zdobywa zwycięska drużyna jedenastu młodzieńców na terenie międzynarodowym. Z obserwacji moich w Krakowie widziałem wyraźnie, że odniesiona porażka rozgorczyła zebrane masy do głębi. Pod koniec gry, kiedy zwycięstwo gości nazbyt już było widoczne, padały okrzyki pełne głębokiej namiętności, wyrazy nie dających się pohamować przekleństw na poszczególnych graczy. Z głębi trybun, po drugiej, a przeważającej szale zwycięstwa bramie, grupka rozgorączkowanych Jugosłowian krzyczała na boisko w ich własnym języku „jeszcze tylko trzy minuty, trzy minuty!” Wracający na pozycję rodacy uśmiechali się do nich, potakując życzliwie głowami. Chwila taka spaja ludzi i rozpłomienia, jak wygrana lub przegrana wojna. W drużynie Jugosławji w środku ataku gra artysta malarz (Perska), w jakiejś drużynie duńskiej gra fizyk, profesor uniwersytetu, i wielu innych, o których nie wiem. Grają naprawdę ludzie różnych sfer i stanów. Na wielkim boisku, przy decydujących zawodach, ten przemądry profesor jest rówieśnikiem, kolegą i przyjacielem rozpłomienionego sztubaka, który krzyczy jak obłą-

kany: „jeszcze tylko trzy minuty!” Ja sam, który sprawy te traktuję czasami dosyć namiętnie, cierpiałem za siebie i za te 16 tysięcy zebranej publiczności. Rozumiałem ich. Długo ważono nazwiska graczy reprezentacyjnych, którzy już jednak dość pięknie spisali się w Zagrzebiu, Budapeszcie, Sztokholmie, Paryżu; ludzie ci, z migającymi na czerwonych koszulkach godłami państwowymi, zrobili zawód. Jakaś niemoc ogarnęła wszystkich prawie, piłka zaczęła latać po boisku bez sensu, nie omijając oddalonego koła zwartych głów publiczności, i gra zaczynała być taka właśnie, jak określają ignoranci — kopaniem piłki. Przeciwnicy grali nie lepiej, choć skuteczniej.

Do końca gry prawie utrzymywał się stosunek remisowy 1:1, i dopiero w ostatnich minutach goście zdołali uzyskać przewagę. W przegranym matchu nie oskarżam nikogo. Widziałem wyraźnie, wyczuwałem z każdego prawie poruszenia, że drużynie polskiej brakowało pewnej nerwowej jednolitości i woli, czegoś, co nie ma nazwy, a co grę zamienia na rozwijający się jeden ciąg skutecznych działań. A szkoda! match można było wygrać, Jugosłowianie nie byli wcale groźni.

Drużyna nasza składała się z następujących nazwisk, zestawionych z czterech klubów: Pogoni, Wisły, Cracovii i Warty: Wiśniewski, Gintel, Fryc, Społda, Cikowski, Synowiec, Zimowski, Kuchar, Kałuża, Garbień, Sperling. Gintel i Synowiec najbardziej byli na wysokości.

Kiedym się rano zgłosił do klubu Cracovii po telegraficznie zamówiony bilet prasowy, sekretarz P. Z. P. N. odpowiedział mi, że biletu prasowego dla redakcji „Pani” nie udzielono. P. Z. P. N. nie ma racji. „Pani” jest też pismem, prowadzi dział sportowy, ma swego sprawozdawcę, redakcję, drukarnię, nawet czytelników. Czegoż więcej chce jeszcze P. Z. P. N.?

WŁ. PORANKIEWICZ





WYŚCIGI

DERBY, dn. 3 Czerwca 1923 r.

Czem są wyścigi dla prawdziwego Warszawiaka — zbędne jest chyba tłumaczyć.

Jest to rozrywka tak zakorzeniona, tak umiłowana, że gdyby w lecie nie było wyścigów, miasto nabrałoby innego charakteru, gdyż w lecie gdziekolwiek się wejdzie, czy do cukierni, czy też do innego publicznego lokalu — widzi się wszędzie dżentelmenów pogrążonych w głębokiej zadumie nad czerwonymi i białymi programami wyścigowymi, a w powietrzu krzyżują się zapytania.

— Jaki pewniak na jutro?

Wyścigi robią nawet pod tym względem konkurencję przesileniom gabinetowym, gdyż warszawiak zaraz po pytaniu, czy Witos będzie lub nie będzie premierem, dodawał:

— A jak pan myśli, kto wygra derby?

Lecz zmieniają się czasy, zmieniają się i ludzie. Z czysto pańskiej, arystokratycznej zabawki zamieniły się wyścigi poniekąd w interes. Dziś utrzymywanie stajni wyścigowej nie jest już tylko ostatnim wyrazem dobrego tonu i szyku, lecz bussiness'em, takim samym bussiness'em, jak i inny, jak również większość stałych wyścigowych bywalców uważa ten sport jakby za dalszy ciąg gry giełdowej. Lecz jest jeden dzień w sezonie wyścigowym, w którym nie tylko zapamiętały gracz, lecz każda szanująca się Warszawianka i Warszawiak poczuwają się do obowiązku złożenia wizyty na polu Mokotowskim, a dniem tym jest dzień „Derby“. Derby jest to „clou“ każdego sezonu wyścigowego, jest to dzień, w którym biegają najlepsze konie, panie nakładają najpiękniejsze tualety, szanujący się zaś dżentelmen przywdziewa żakiet i lśniący cylinder.

W tym roku nie zawiodły konie, gdyż biegały wszystkie, jakie były na torze najlepsze, nie zawiedli panowie, gdyż błyskały wszędzie szykowne „huit reflet'y“ — lecz zato zawiodły warszawskie eleganki i to zawiodły sromotnie.

Rozglądam się po trybunie z rozczarowaniem. Wszędzie szary, bezbarwny tłum, ani jednej tualety, nic, coby zaznaczało odświętnie wielkość sportowego dnia „Derby“ — biedna byłaby sprawozdawczyni lub sprawozdawca, który chciałby za wszelką cenę opisać tualety... Tualet niema.



Pułk. Zatorski zdobywa dwie nagrody z tych jedną pierwszą w Nicei. Deleg. M. S. Wojsk. por. Daszewski przy rozdawaniu nagród.

Wszystkie panie, jak gdyby się zmówiły. przywdziały ciemne, jak najskromniejsze kostjумы, gdzie niegdzie błysnie tylko czarna jedwabna peleryna. Nasze panie ze sfer teatralnych, z p. Lucy Messal na czele, ubrały się również jak najskromniej. Ta sama wstrzeźliwość w strojach daje się zauważyć i na trybunie członkowskiej, którą licznie wypełniły przedstawicielki dyplomacji, oraz rodowej arystokracji.

— Czemu to przypisać? — zapytuje stojącego obok mnie p. Zmigrydera.

— Pogodzie! — kochanej pogodzie — odpowiada, wskazując na zachmurzone niebo.

Rzeczywiście, ciągle padający deszcz nie usposabia zachęcająco do prezentacji tualet, i jakby tylko w drodze wyjątku, szanowny deszcz, zaszczycający nas bez przerwy swą obecnością, zachował się jak dżentelmen — nie padał przez cały czas derby. Wchodzę między tłum. Przeważa język obcy. Ucharakteryzowani na Amerykanów panowie, gwałtownie gestykują i rozprawiają, tym razem jednak nie, jak przed wojną, po angielsku, lub francusku, lecz w... wykwinnym żargonie.

— Lussignet, wird kimmen!

— A co pan powiesz do te Rute — takie piękne imię?!

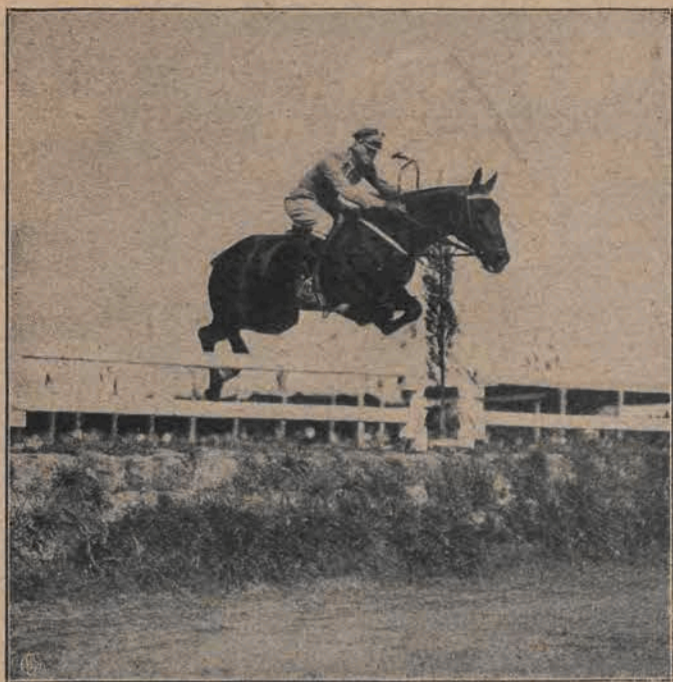
Idę dalej. Właśnie konie wychodzą do startu, za chwilę rozegra się derby. Podniecenie tłumów rośnie... Wszędzie słyhać „Lussignet“, „Ruta“ — „Ruta“, „Lussignet“, gdyż publiczność ufaworyzowała sobie przedstawiciela stajni p. Towarnickiego „Lussignet'a“ i klacz bar. Kronenberga „Rutę“. O reszcie koni się nie mówi. Ktoś wymienia konia p. Grzybowskiego „Rysia“, zaco strofuje go stały bywalec toru wyścigowego.

— To żadna klasa! koń półkrwi... nic nie zrobi! Tu nie las, żeby „latał“ Ryś!

Nakoniec kula, zwana popularnie „bombą“, idzie w górę.

Mistrz ceremonji, starter pan Radwan, opuszcza chorągiewkę, i konie ruszają. Cały tłum „wyścigowców“ zamiera.

Z początku derby jest mało emocjonujące. Jak należy się spodziewać, na przedzie idą konie gorsze, „leadery“ — zaś na końcu matadory, szanując swe siły na forsowny finish. Lecz w miarę przebiegania dystansu podniecenie



Mjr. K. Römmel na Jacku.



Por. Królikiewicz na Jaśku

(fotografia „Jeźdźca i Hodowcy”)

rośnie, wzmagają się ono szczególnie, gdy nawprost trybun lekceważony „Ryś” wysuwa się błyskawicznym ruchem o kilkadziesiąt długości, zaczyna pewnie prowadzić wyścig i wychodzi swobodnie na linię prostą, pierwszy. Stara się go beznadziejnie dopędzić reszta współzawodników z „Rutą” na czele. Dżokeje energicznie machają szpicrutami, lecz „Ryś”, jak na prawdziwego rysia przystało, nie daje się złapać i kończy łatwo pierwszy wyścig, ku ogólnemu rozczarowaniu totalizatorowiczów.

Teraz dopiero rozpoczynają się komentarze: — Ależ panie, ten Ryś nie mógł przegrać, nie wiem dlaczego nie grałem go!

— Ten Ryś nie jest wcale półkrwi... pełna krew — twierdzi inny sportsman. Typowałem go, tylko mnie „zszadzi”!

Podchodzę do wag. Otoczony sportsmanami p. Grzybowski, właściciel Rysia, przyjmuje powinszowania. Obok niego stoi gniady Ryś z niebieską kokardą — odznaką zwycięzcy „derby” — przypiętą do uzdy, i dumnie rozgląda się po publiczności. Ma rację, jest on dziś bohaterem dnia!

We wszystkim jednak trzeba mieć szczęście — gdyż hodowcą Rysia jest p. Olszowski, również właściciel stajni wyścigowej, który uważał go za tak mało budzącego nadziei, iż sprzedał panu Grzybowskiemu za sumę względnie umiarkowaną.

To też nieopodal Rysia stoi p. Olszowski i przygląda mu się melancholijnie. Tak, trzeba mieć szczęście!

To samo powtarzają sobie bywalcy wyścigowi, gdyż nacieszywszy się widokiem tegorocznego derbisty, pędzą do kasy, aby w nagrodzie „Prezydenta Rzeczypospolitej” odbić swe dotychczasowe straty.

Ogół faworyzuje zrebca stajni ks. Lubomirskiego „Zbaraża”. I „Zbaraż” nie robi zawodu. Przybywa pierwszy swobodnie, witany entuzjastycznie przez swych zwolenników.

Generał Rozwadowski, przedstawiciel P. Prezydenta Rzeczypospolitej, którego imienia jest nagroda, składa powinszowania ks. Hieronimowi Lubomirskiemu.

Cieszą się obecnie wszyscy: sportsmani, że wygrała stara, zasłużona stajnia ks. Lubomirskich — gracie, że wygrał ogólny faworyt.

To też gdy ks. Hieronim Lubomirski osobiście prowadzi zwycięskiego „Zbaraża”, pośród publiczności witają go wszędzie frenetyczne oklaski i wykrzykniki:

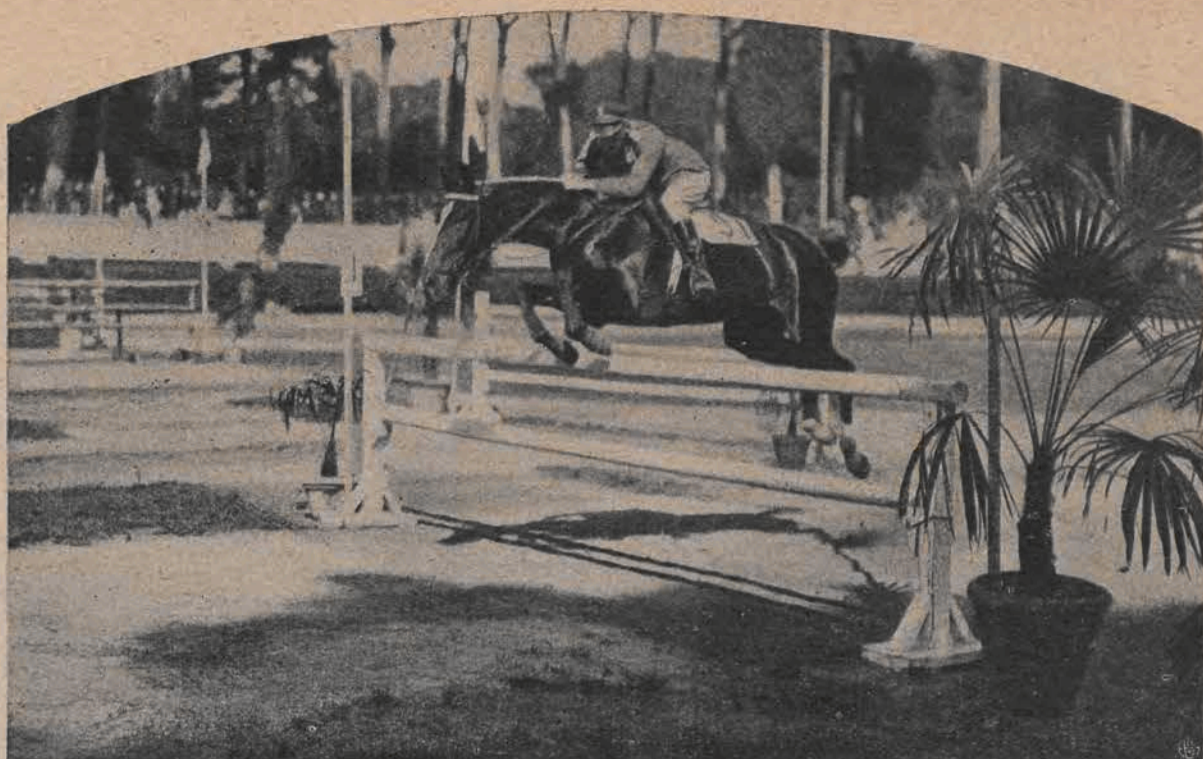
Niech żyje Lubomirski!!

Klaszczą wszyscy. Klaszczą nawet ci, co wcale na Zbaraża nie grali.

Jeszcze jednak żyje zamiłowanie do sportu!

ST. A. WOTOWSKI





Mjr. K. Römmel na klaczy Kleopatrze

(Fot. „Jeźdźca i Hodowcy“)

KONKURSY HIPPICZNE

Jeżeli wyścigi zatraciły swój sportowy charakter, jeżeli głównym przyciągającym magnesem toru Mokotowskiego jest, niestety, nie szlachetny sport, a gra, to rendez-vous całego prawdziwego świata sportowego stały się konkursy hippiczne. Rzeczywiście na konkursy gracz nie ma pogo iść — niema tam ani bookmacherów, ani totka.

To też trzeba przyznać, że tegoroczne konkursy świeciły przeraźliwymi pustkami. Nie zdołały przyciągnąć szerszych mas publiczności. Może temu winna ta paskudna pogoda, która nam wszystko obecnie psuje, a może i to, że konkursy zaczynały się zbyt wcześnie, gdyż z powodu licznego zapisu koni rozpoczęto je o 12 w południe. A szkoda, że Warszawa nie dała się pociągnąć, gdyż konkursy są sportem w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu — są w całej pełni rycerską zabawą.

To też nic dziwnego, że jeździli wyłącznie niemal (prócz jednego jeźdźca cywilnego) sami pp. wojskowi, nic dziwnego powtarzam, gdyż wszystko, co miało prawdziwy pociąg do sportu końskiego, znalazło się w szeregach naszej kawalerji, dzięki czemu jazda polska jest dziś jedną z najpierwszych w świecie.

Teren konkursów hippicznych urządzono pośrodku toru wyścigowego pola Mokotowskiego. Dookoła łoże i miejsca dla publiczności, co daje możliwość znakomitej obserwacji skoków. Publiczności, jak wspomniałem, mało, sami zawodowi sportsmeni, oraz sportlady's, jakby dla zaznaczenia swego charakteru ubrane po sportowemu. Na trybunie sędziowskiej Pan Prezydent Rzeczypospolitej Wojciechowski, który przybył celem osobistego odznaczenia zwycięzcy w nagrodzie swego imienia. Zaszczyc ten przypada w udziale por. Bukrabie, zdobywcy tej nagrody na wał. gn. Amancie.

Naogół wszyscy jeźdźcy skaczą poprawnie. Wyróżnia się spośród ogółu i największe zainteresowanie budzi niedawny zwycięzca konkursów

olimpijskich por. Królikiewicz, który po powrocie z Włoch zbiera obecnie nowe laury na „Jaśku“ i „Pikadorze“ (II nagr. w konkursie im. Prezydenta).

Pośród grona sędziowskiego dostrzegam porucznika Tadeusza Daszewskiego; towarzyszył on cały czas polskim jeźdźcom podczas ich zagranicznych triumfów.

Korzystając właśnie z przerwy między konkursami, postanawiam go zainterwiewować.

— Czy mogę panu złożyć powinszowania z powodu zagranicznych sukcesów?

Porucznik Daszewski uśmiecha się — Mnie nie, gdyż osobiście w nich udziału nie brałem, byłem tylko delegowany, jako przedstawiciel Min. Spraw Wojskowych, lecz trzeba przyznać, że popis naszej armji wypadł świetnie.

— A czy mógłbym pana nudzić, prosząc o udzielenie mi bliższych szczegółów?

— Z przyjemnością — odpowiada porucznik Daszewski — więc trzeba panu wiedzieć — ciągnie dalej, — że komitet konkursów hippicznych w Nicei urządza co rok w kwietniu międzynarodowe wojskowe konkursy, rozsyłając zaproszenia do wszystkich narodów Europy. Polska dopiero w tym roku po raz pierwszy skorzystała z zaproszenia. Ministerjum Wojny wysłało do Nicei ekipę, złożoną z 3 oficerów: płk. Sergjusza Zahorskiego, maj. Karola Rómmla i por. Adama Królikiewicza wraz z dziesięcioma końmi. Jak przedstawiała się nasza ekipa wyjaśnia fakt, że podczas jej defilady zwrócił się do mnie jen. Govodlo, przewodniczący jury, a zastępca Ministra Wojny Francji, i głośno powiedział — „polska ekipa przedstawia się świetnie, winszuję panu“.

— Kto odniósł główny sukces w Nicei? — zapytałem.

— Nicea była polem triumfów płk. Zahorskiego i maj. Rómmla, jak później Rzym por. Królikiewicza. Aczkolwiek warunki, w jakich się zna-



Konkursy w Rzymie. W loży Król Włoski, Król Angielski i Królowe



Jury konkursu w Nicei. Delegaci Polski mjr. Dowbor i por. Daszewski

leżli w Nicei jeźdźcy nasi, jako to: uciążliwa droga, nieznajomość terenu, znacznie lepsza klasa zagranicznych koni, oślepiający blask południowego słońca, — obniżały szanse ich znacznie, niemniej konkursy stały się polem triumfów Polaków, którzy po jeźdźcach włoskich zajęli drugie miejsce. Pisma francuskie i włoskie pomieściły artykuły: „Les grandes victoires de l'Italie et de la Pologne” wychwalając świetną kawalerję polską i podkreślając głównie styl jazdy mjr. Rómmla, który uznano za system jazdy polskiej.

Wspomniał pan o triumfach por. Królikiewicza w Rzymie?

— Tak, gdyż z Nicei na zaproszenie włoskich oficerów udała się ekipa polska do Rzymu. Tam, uczeń mjr. Rómmla, por. Królikiewicz, swemi nadzwyczajnymi „parcourami” na „Jaśku” zdobył nie tylko pierwszą nagrodę w „Premio Cecillia Metella” lecz również i sławę w Rzymie.

— Czy konkursy w Rzymie przedstawiały się świetniej niż w Nicei?

— Bodaj, że tak. Byli na nich obecni królowie włoski i angielski i zwycięskim jeźdźcom wręczali nagrody. Będąc przedstawiony w loży królewskiej obu monarchom, rozmawiałem z królem angielskim, który wyraził szereg pochwał dla naszych jeźdźców.

— Jak ogólnie przyjmowano panów we Włoszech?

— Nie mam dość słów, by wyrazić zadowolenie. Przyjmowano nas wprost entuzjastycznie. Gdy dostaliśmy zaproszenie do teatru na przedstawienie oficjalne, lożę naszą udekorowano polskimi barwami i orłem polskim. Podczas przedstawienia Prezydent Ministrów Mussolini przysłał do nas swego sekretarza, oznajmiając, iż pragnie nas poznać. Przyjął nas z wielką uprzejmością.



Grupa polskich sportsmanów w Nicei na konkursach

Byliśmy również na audjencji u Ojca Świętego Piusa XI, który w serdecznym przemówieniu przypomniał czasy spędzone w Polsce, podnosił męstwo naszych wojsk i błogosławił armji naszej, a przez armję całemu narodowi, który ceni jako szlachetny i rycerski. Ojciec Święty interesował się naszymi sportowymi sprawami, a nawet hodowlą koni w Polsce, i zapytywał w jakim kierunku hodowlanym idziemy. Pożegnawszy nas serdecznie, obdarzył specjalnem błogosławieństwem.

— Więc sądzi pan, że sukcesy polskie miały znaczenie nie tylko sportowe, lecz i polityczne?

— Bezwzględnie tak. We Włoszech propaganda nasza miała jeszcze większe znaczenie, niż we Francji, tam bowiem wiedzą o nas więcej, mając ciągły kontakt z Polską. We Włoszech dużo jest, bardzo dużo ludzi, którzy o Polsce nic, a przynajmniej bardzo niewiele wiedzieli, a sport, szczególnie efektowny sport koński, jest świetną propagandą, a szczególnie połączony z tak wydatnym sukcesem, zyskuje serca, zyskuje sympatje.

W tej chwili ozwał się dzwonek. Por. Królikiewicz właśnie na sławnym „Jaśku” podążył do „parcouru”.

— Przepraszam pana, lecz czas... Tu wskazał por. Daszewski na przeszkody i pożegnał mnie krótkim wojskowym ukłonem.

Pozostałem sam. I z dumą spoglądałem na por. Królikiewicza — z dumą, że nie zaginęły sławne tradycje rycerskiej jazdy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, że nie zaginęły tradycje ks. Józefa.

Tak, bo sport koński jest piękną rzeczą, jest więcej niż zabawką, lecz trzeba go kochać, trzeba go cenić... no i nie trzeba przetwarzać w bussiness.

ST. A. WOTOWSKI

Torebki

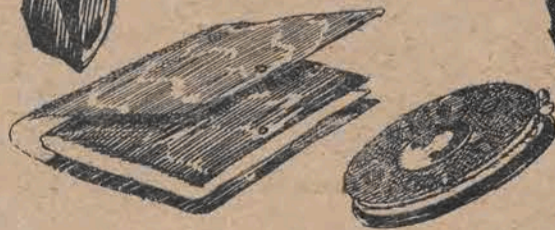


Torebka damska, dawniej „riducule“ zwana, nie wydaje się dziś nikomu śmieszną, choć ma nieraz fantastyczne kształty. Nikt się nie dziwi, naprzykład widząc damę z torebką lalką, pod spódniczką której kryją się tajniki damskiej toalety: jak puder, pomadka, ołówek brwi i t. d.

Formy toreb zmieniają się tak jak fasony sukien lub kipeluszy, formy tańca, flirtu lub savoir-vivreu. Są specjalne zasady mody, którym podlegają torebki zarówno, jak cała sylwetka kobieca i nie nosi się dziś biustu, bioder ani żadnych kulistych wypukłości, natomiast nosi się torebki wielkie i okrągłe jak dawne kule armatnie z kosztownych materji o misternych zamkach ze srebra, kości słoniowej, lub nawet złota i drogich kamieni.

Wielkość torebki jest ściśle zależna od waluty: kraje o wysokiej walucie używają torebek przeważnie małych płaskich z masy lub tafty ze srebrnem okuciem. Jest to jednak możliwe tylko tam gdzie za jeden papierkę można zakupić dużo fatałaszków, u nas zaś elegancka dama musi wychodzić po sprawunki z ręczną walizką pełną pieniędzy, mimowoli więc i eleganckie torebki muszą przystosować się do tych rozmiarów.

HEL. ZMIG.



T. S. R. O. N. O. W. I. K. I.



LISTY



Z

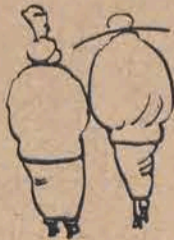
BERLINA



I

Nie wiem, jaki maj był w Warszawie, ale w Berlinie od tygodni zimno i dżdżysto. Trudno więc myśleć o wycieczkach i podróżach. A przecie szykują się tu na sezon letni i hoteljerzy i lekarze, właściciele zakładów leczniczych, kupcy etc., nawołując do zawrócenia z błędnej drogi. Doświadczenie bowiem nauczyło, że ciągle szykanowanie i obrzydzanie cudzoziemcom pobytu w Niemczech najsmutniej na własnej odbiło się skórze. Berlińczyk nagle odkrył, że „der laestige Auslaender“, niepożądany cudzoziemiec, często gęsto bywa „der erwuenschte Fremde“, pożądanym obcym. A że trudno ich rozróżnić tak dokładnie, więc skutecznie wyobrzydziwszy (hinausekeln) cudzoziemców ze swej metropolji, przekonał się Berlińczyk, że hotele mu stoją puste, że takie same pustki zagrażają miejscom kąpielowym, że wielkie magazyny potraciły klientelę, a fabrykacja przedmiotów luksusowych wydalać musi robotników z powodu braku zajęcia. Trąbią więc do odwrotu na całej linii. Spodziewać się należy, że i gościom z Polski w przyszłości lepiej się dziać będzie, choć chwila oportunna do przyjazdu i zakupów w Berlinie już mija. Było dla nas przejściowo bajecznie tanio w chwili, gdy nagły spadek marki niemieckiej zrównał ją z polską. Nie zdążyli kupcy w tych kilku dniach przystosować cen, i były to dni, gdzie w pogoni za okazją nabywać można było prawdziwe „szczęścia“. Ale fala drożyzny coraz bardziej wzbiera i tylko czekać chwili, w której, jak już kilka razy poprzednio, ceny tu zrównają się, a nawet prześcigną ceny rynku światowego.

Zresztą Polka, zdążająca na zachód, najpewniej nie w Berlinie kompletować będzie swą garderobę. Nie Paryż to i nie Londyn, i najnowsza moda tu umie jakoś tak wycisnąć swoje cachet na kopcach nawet modeli francuskich, że od razu można poznać gust niemiecki. Sprawiedliwość przyznać nakazuje, że gust ten w latach ostatnich znacznie się poprawił i przybliżył do gustu wielkiego świata, ale czy to przystosowanie, czy chęć oryginalności, na tutejszych pokazach wystawy mody można zawsze skonstatować, że materiały, tkaniny maszynowe, koronki, hafty, roboty ręczne a nawet bielizna, są piękne, dobrze zestawione, trwałe i często gustowne, a gotowa konfekcja tylko w najrzadszych wypadkach zadowala wybredniejszy smak europejski. Nie pomogą tu żadne Modewochoy, ani profesorowie szkoły przemysłowej z p. Haas-



Heyem na czele, eksport niemiecki toaletowy tylko na Bałkanach i na dalekim wschodzie znajdzie odbiorców.

Moda chwilowa i strój kobiecy, jak zresztą wszystko inne, stoi obecnie w Berlinie i całych Niemczech pod protektoratem i godłem matuszki Rosji. Jeżeli w Paryżu, Londynie i Wiedniu rosyjska bluza, haft różnobarwny lub strój na głowę w kształcie kokosznika w modzie — tak samo jak inneróżnorokie narodowe i wschodnie motywy — rolę odgrywają, to w Berlinie Rosja ton nadaje. Paniąka z Tauenzienstasse, „das Tauenzienmaedchen“ imituje wszystkie Głafiry Elizawety lub Eufrozyny, przesadza więc w makillażu, w czernieniu brwi i różowaniu ust, przesadza w nasuwaniu kapelusza na oczy, w spętanej, znów wąskiej choć długiej, sukience i w obcisłym opięciu tego, co dyskretnie biodrami nazywamy. Przytem w Berlinie tak roi się od emigrantów rosyjskich, którzy przepelniają ulice, omnibus na Kurfuerstendammie, zwany Palästinaexpress, cukiernie, kina, teatry i kabarety, że chwilami ma się złudzenie, że jest to Piotrogród nad Sprewą, i że rzeczywiście Kurfuerstendamm to Neppski prospekt (neppen w dialekcie berlińskim znaczy karotowanie). Czy o piątej podążymy do cukierni „Rusch“, Russische Schokolade, czy nad wieczorem do Oliviera, czy później do jednego z licznych rosyjskich kabaretów lub teatrów, wszędzie odbija się o uszy dźwięk mowy Puszkina, często z czysto antokolskim akcentem.

Gdy w nocy po policyjnym zamknięciu lokali odkryją uczującą w szczelnie zasłoniętej sali publiczność, gdy w prywatnym domu „die Gruenen“ (policja zwana tak od zielonych mundurów) przyłapie grających w zakazanego baca lub chemin de fer, z pewnością co najmniej 75 procent będą najmiłsi goście Berlina — Rosjanie. Z ich rzędów rekrutuje się „der laestige Auslaender“, jak i „der erwuenschte Fremde“. A poza nimi jest cała kolonja pracowników intelektualnych, pisarzy, dziennikarzy, artystów, którzy cichą, może korzystną i pilną pracą piętno swoje nadają całemu ruchowi artystycznemu w Berlinie. I mimo najlepszych chęci, wpływu tego zbawiennym nazwać nie można. Bo pozbawia on wszelkiej inicjatywy młode siły tutejsze, które, idąc ślepo za wzorem takiego Archipenki, Chagalla czy też Czeliščzewa, idą szlakiem „nowej drogi“ ale już... utartej.

Są wprawdzie wyjątki, ale o tem innym razem.

S. G.



Gdyby chcieć krótko określić obecną sytuację teatralną zagranicą, wystarczy zacytować tu słowa dyrektora teatru narodowego w Helsingforsie, d-ra Kalimy, który, bawiąc w tych dniach w Polsce, po odbyciu podróży artystycznej po Europie, oświadczył: „Właściwie Polska jest w tej chwili ośrodkiem życia teatralnego w Europie, bowiem na Zachodzie, naogół biorąc, z wyjątkiem Francji, nic się nie dzieje”. Nie wiem, czy traktować tak poważny głos człowieka teatru za komplement pod adresem Polski, w każdym razie stwierdzić trzeba, że w stosunku do zagranicy obserwacja jego jest słuszna. Epoka teatru Reinhardta w Niemczech minęła. Rozpoczynam dlatego od Reinhardta, ponieważ u nas uczyniono mu gwałtowną reklamę i poza nim nie widziano prawie nikogo. Reinhardt przeniósł się do Wiednia i równoległe do warszawskiej „Reduty” stworzył „Redoutentheater” w samym Burgu cesarskim, nie czyniąc tylko żadnych poszukiwań w kierunku wewnątrz-artystycznym. Przy pomocy Hoffmannsthal’a przygotowuje obecnie nowy festival w Salzburgu, gdzie znajduje się zresztą jego generalna kwatera na wiosnę i lato.

Z jego wyjazdem z Niemiec caduceus reformatora wziął w garść p. Jessner, obecny dyrektor rządowego „Schauspielhaus” w Berlinie. Jessner rzucił nowe wskazania teatrowi, podkreślając wartość dynamiki słowa w sztuce, i uprzywilejował pierwiastek rytmu na scenie, dał „Napoleona” Grabego, a ostatnio, mimo wszystko, potknął się na „Fauście” Goethego, przeciągnąwszy strunę czułościowości w zakresie swego sprytu reżyserskiego, tak jak przeciągnął strunę swojej dumy, która nakazuje mu, w myśl domowego regulaminu pruskiego, ludzi teatru, przybywających z zagranicy, traktować „zwei Schritte vom Leibe”, aby ktoś przypadkiem nie zajrzał do wnętrza p. Jessnera i nie wykradł mu „świętego ognia”...

I dlatego, gdyby nawet p. Jessner i p. Hartung w Darmstademie, razem wzięci, chcieli narzucić nam swoją obecną metodę teatralną na gruncie sprecyzowanego dziś pojęcia o sztuce teatru, ponieść muszą klęskę. Niema w ich robocie tego poczucia pracy zbiorowej i myśli zbiorowej, zestrzelonej dla sztuki, ale istnieje tylko potrzeba zdobycia efektu wobec publiczności. Krótko: robota na eksport. Robota. Sztuka nie może być robotą, nie może mieścić w sobie pierwiastka robocizny, bo i ten, który w tem bierze udział, jest z natury rzeczy robotnikiem — nie artystą.

Odchylenie więc stopnia kultury germańskiej od wibrującej życiem i zdrowiem kultury francuskiej jest tak znaczne, że nie da się tu w tym krótkim szkicu ustalić jego granic. Francja jest zawsze żywa. Ma niewyczerpane źródła twórczości. Więc teatr i dramat francuski jest dziś ciągle na wyżynach. Eksperyment niemiecki na gruncie teatru jest drobnostką w porównaniu do eksperymentu i siły tego eksperymentu we Francji. W Niemczech teatr robią autorowie, oni stanowią w tej chwili o jego losach. Gdyby nie było tam Hasenclevera, Kaisera, Oskara Kokoschki, Pawła Kornfelda i innych, nie byłoby możliwości teatru eksperymentalnego. We Francji odwrotnie. Tam jest teatr, jako teatr, jako specyficzna kategoria piękna, jako pojęcie sztuki samej w sobie. Tam nie nagina się teatru dla dramatu, ani, jakby ścisły teoretyk klasyfikował — dramatu dla teatru, ale stwarza się harmonję elementów, na których opiera się architektura zewnętrzna i wewnętrzna teatru. Dowodem tego „Vieux Colombier” pod wodzą Copeau i „Atelier” pod kierunkiem Dullina. Dowodem tego także „L’Oeuvre”, dowodem tego bardzo klasycznie idący „Odeon”, prowadzony przez Firmina Gemiera. Owóż tu jest ta strona wewnętrzna teatru. Tu są te poszukiwania, wybiegające już daleko poza dotychczasową kondensację

szczegółów, uplastyczniających naturalizm i realizm teatru. Zwłaszcza i w głównej mierze odnosi się to do teatrów Copeau i Dullina. Nie pracują oni dla publiczności ale wobec publiczności. Nie walczą o doskonałość sceny w znaczeniu osiągnięcia wyrazu zewnętrznego wrażenia, ale o doskonałość własnych pojęć, własnej duszy, idą ku nieznanemu Pięknemu, pieczęją się tem, co daje sztuka, ta sztuka, którą oni tylko rozumieją, a której inni nie muszą rozumieć, bo wolno im mieć inne zachwyty z takich czy innych pobudek płynące.

Dalsze uwagi o teatrze zagranicą rozwiniemy w najbliższym numerze.

MICHAŁ ORLICZ

W teatrze paryskim „Comédie des Champs Elysées” wystawiono sensacyjną sztukę włoskiego autora Luigi Pirandello p. t. „Sześć postaci dramatu w poszukiwaniu autora”.

Autor zatytułował rzecz swoją „komedią do napisania w trzech aktach” i rozpoczyna akcję w ten sposób:

Widownia. Otwarta scena: kulisy w czasie próby. Schodzą się aktorzy na próbę, znudzeni, niewyspani jak zwykle. Wpada dyrektor, rozdaje role, sufler prosi, żeby go nakryto budką, bo jest przeciąg. Próba zaczęta. Wtem jacyś ludzie dziwni chcą się widzieć z dyrektorem. I wprawdzie dyrektor jest rzekomo z tego powodu zirytowany, to jednak zaciekawia go wizyta nieznanymi intruzów i oto na scenę wkracza niesamowity orszak: ojciec, matka, pasierbica, wyrostek — wszyscy w ciężkiej żałobie, wreszcie syn i dziewczynka. Ludzie ci, to gotowe postaci dramatu, tego dramatu, który tworzy życie. Ojciec i matka nigdy się nie kochali. Przyszedł ten trzeci, sekretarz. I rozpoczęła się



PIRANDELLO

„SZEŚĆ POSTACI DRAMATU
W POSZUKIWANIU AUTORA”

atmosfera tem bardziej przytłaczająca, że ojciec nie był w stanie złamać ani dobrocią, ani łagodnością porozumiewawczych spojrzeń kochanka z matką. Wkońcu musiał oboje wygnąć z domu nie dla siebie, ale dla ich szczęścia. Ale choć się to stało, sentyment ojca nie wygasł i zaczął przynajmniej żyć ich dziećmi i to do tego stopnia, że własnego syna zaniedbał. Nagle sekretarz wywiózł matkę niewiadomo gdzie, ojciec pozostał zupełnie sam,

niezdolny do zdobywania więcej podniet w życiu. Mimo to postanowił nie wyrzec się chociażby kupnej miłości, więc odwiedzał dom niejakiej madame Friede, która proceder swój osłaniała szyldem damskiej konfekcji. W tym domu spotkał swoją żonę w chwili, gdy trzymał w objęciach jej córkę, pasierbicę. Dowiedział się, że śmierć sekretarza, który rozbił jego domowe ognisko, i nędza zrobiły swojej że matka całymi nocami szyla, a madame Friede odrzucała robotę matki, dając do zrozumienia córce, że wszystko zależy od jej dobrej woli. Ojciec, wzruszony, przygarnął całą rodzinę, ale pasierbica nie może mu przebaczyć sceny w domu madame Friede.

Z okazji wystawienia tej sztuki po raz pierwszy w Polsce przez teatr im. Słowackiego w Krakowie ciekawe uwagi rzucił Karol Hubert Rostrowski: „Z tego piekła, (które wyżej przedstawiłmy) — powiada — może wybawić tylko autor, który potrafiłby rzucić właściwe światło na całość tego szatańskiego konfliktu i udowodnić światu, że Pasierbica sędzi ojca niesłusznie, gdyż jego chwilowy nędzny stan duszy nie zobowiązuje przecież przez całe życie — a z drugiej strony, że pasierbica nie może sędzić inaczej — jednym słowem: wszyscy chcą istnieć *rzeczywiście*, to znaczy jednocześnie i podmiotowo. Są przeto czystą treścią,



DEKORACJE „BALLADYNY” DÓ POMYSŁU XENI BOGUSŁAWSKIEJ

której potrzeba czystej, koniecznie własnej formy. Jakiej? Sami pokażą. I zaczyna się walka na gry pomiędzy osobami dramatu i aktorami. I okazuje się, że z czystej treści i z czystej formy nie można skonstruować sztuki, gdyż albo treść zjada formę, albo forma treść. Potrzeba więc autora, czyli rzeczywistości wyzwolonej z treściowych i formalnych nawyczek — trzeba poprostu wyobraźni”.

Prawdopodobnie Karol Hubert Rostworowski trafił w sedno rzeczy, wysnuwając wnioski z koncepcji Pirandello. Naogół sztuka jest ciekawa i oryginalna teatralnie, jedna z wybijających się na plan pierwszy w obecnym repertuarze zagranicznym.

W teatrze narodowym w Pradze wystawiono pod kierunkiem reżyserskim D-ra Hilara dramat poetyczny Słowackiego p. t. *Balladyna*. Rzecz potraktowano eksperymentalnie, stąd namnożyło się mnóstwo błędów nie do przebaczenia w stosunku do wspaniałego utworu Słowackiego. — Oczywiście to co pozostało z nieudalnego eksperymentu, to czar poezji i słowa, których nie są w stanie zniszczyć zapędy nawet najdzikszych eksperymentów. Można zmienić ton, można wykoszlawić sytuację, można narzucić poematowi najcudaczniejsze dekoracje i rekwizyty, — Słowacki zostanie Słowackim, a czescy reformatorowie zostaną tem, czym są, to jest niczem. — Słusznie też nawet prasa rdzennie czeska potępiła wykonanie utworu, spodziewając się natomiast niesłusznie lepszego wrażenia... gdy utwór polski tak zapalczywej poddano operacji. Zaś to, co miała na myśli pokazać p. Xenia Bogusławska — w swoich dekoracjach, jest bezmyślną próbą naśladowania eksperymentu p. Stanisławy Wysockiej, która w czasie wojny w swoim „Studio“ w Kijowie dała ciekawe ujęcie „Baladyny“ od strony jej walorów dramatycznych w połączeniu z równoległą ekspresją dekoracyjną. — P. Xenia Bogusławska, przeprowadziwszy się z Rosji do Berlina, zapragnęła zadziwić świat swojemi pomysłami w zakresie dekoracji i, zaproszona do Pragi, poniosła zasłużoną klęskę, jak się jej to słusznie należało.

M. O.

Któż nie słyszał o Pawłowej? Nazwisko, związane z najświetniejszymi tradycjami dawnych teatrów rosyjskich, dziś olśniewa świat cały. Pawłowa i Karsawina, najsłynniejsze dwie gwiazdy baletu teatru Maryjskiego, (który przed kilku tygodniami spłonął) w Petersburgu, po wspaniałej swojej dzia-

łalności artystycznej w Rosji, wywędrowały, wygnane przewrotem bolszewickim, w świat... Pawłowa stworzyła własny zespół i, objeżdżając metropolje kontynentu europejskiego i za oceanem, doskonałością systemu widowisk i urokiem osobistym podbija różnojęzyczną publiczność. Głównym jej pomocnikiem i niezastąpioną w zespole siłą jest kierownik artystycznej pracy, rodak nasz p. Pianowski, znany baletmistrz, człowiek rzadkich zalet charakteru i artysta o zupełnie nieprzeciętnych zdolnościach, przytem wobec świata jeden z głównych motorów polskiej propagandy. Bowiem p. Pianowski, utrzymując kontakt z krajem, raz po raz zdobywa sposobność ukazania zagranicy ciekawych elementów naszej twórczości rodzimej w dziedzinie teatru. W ten sposób udało się p. Pianowskiemu wprowadzić dekoracje mistrza Drabika, muzykę polskich kompozytorów i wiele tańców pol-

skich. Zagranica była i jest temi pomnikami tradycji i kultury polskiej oczarowana. Od Wielkiej Brytanji, od Stanów Zjednoczonych do Meksyku i Brazylii, od Ameryki do Japonji, Chin, Indji, Egiptu... i znowu przez Brytanję do Ameryki... oto etapy okrzęnej podróży zespołu Pawłowej, który daje nie tylko wspaniałe przedstawienia baletowe dla kontynuowania sztuki, trzebionej w Rosji bolszewickiej mimo pozornej opieki rządu, ale przynosi ze sobą to, co jest naprawdę piękne i godne widzenia, przynosi ze sobą to, co jest przez Niemców i bolszewików z zapalczywością prześladowane — sztukę z pierwiastkiem słowiańskim. Ze zaś pierwiastek ten przepojony jest najbardziej polską uczuciowością i polskim tempe-



ZESPÓŁ PAWŁOWEJ

„TAŃCE MEKSYKAŃSKIE“

ramentem, że te zalety wybijają się na plan pierwszy, budząc powszechny entuzjazm białej i czarnej rasy, to dowód, że polska sztuka ma swoją rację bytu zagranicą i swoje wysoce uprzywilejowane stanowisko, a tylko brak jest odpowiednio zmontowanego aparatu propagandowego, któryby ją uprzywilejował i Polskę oczyścił z tych plugawych napaści, jakimi obdarzają ją wrogowie, słaby tylko znajdujący opór w jeszcze słabszej propagandzie polskich wartości zagranicą. A przecież wsączenie odtrutkowych kropeł, choćby polskiej sztuki, tak szybko jest w stanie zmienić poglądy zagranicy. Japonja, na widok dekoracji Drabika do jednego z baletów, poprostu szalała; w Ameryce Pawłowa w polskich tańcach i w polskich strojach największą zdobyła rozgłos... Czy trzeba nam czekać nato, aż Pawłowa podejmie się naszej propagandy? M. O.

„Kwiaty z Wazonu“ („*Les Fleurs du Vase*“) Odéon.

Autorem tej sztuki jest p. Matei Roussou, którego najwybitniejszą cechą talentu jest bogata wrażliwość. Wrażliwością tą wszystko jest przesiąknięte. Postacie więc jego utworu to dusze, a te stwarza atmosfera sztuki. Stąd też dialog ich jest bezpośrednim i czystym wynikiem ich uczuć. Utwór teatralny, powstały w ten sposób, jest prosty i zwarty w budowie. Fabuła właściwie nie istnieje.

Pewien malarz przeżywa z kobietą, która wypełniła jego przeszłość, chwile rozamiętywania; ogarnia go żal i gorycz, że zniszczył szczęście przez nadmiar egoizmu w miłości, smutek nad marnością, do jakiej stoczyła się boska piękność, która żywiła sny jego młodości.

Z takiego tematu p. Matei Roussou wydobyl źródło życia. Wrażliwość jego mogła go wprawdzie pociągnąć do zbytnej lirycznej rozlewności słowa, jednakże ona to właśnie przyczyniła się do zrealizowania dzieła.

„Wojna łodzi“ („*La Guerre des Barques*“) przez Roberta Maze.

Jest to wdzięczny obrazek z życia rybaków, w którym autor, nie bez powodzenia, stara się uprzytomnić walkę zacieklą tych ludzi między sobą i żywiołem.

Bez wątpienia, że mistrzostwo Lenormanda w przedstawianiu tych tematów osłabia wrażenie każdego utworu, który jest choć trochę słabszy. Pewne jest jednak, że utwór p. Roberta Maze niepozbawiony jest wyrazistości.

Sławna książka Paul Margueritte „*La Garçonne*“ znalazła już dwie realizacje w kinie: jedna — scenariusz ściśle podług treści powieści i druga — parodia powieści pod tytułem „*La Gare sonne*“. Oba filmy nie zyskały aprobaty krytyków ze względu na zwiększanie rozgłosu powieści, uważanej, niewiadomo dlaczego, za gorszą i niemoralną.

Georges Carpentier, słynny bokser, po swoim zwycięstwie nad Nilem powrócił do Paryża i filmuje. Okazało się już z filmu „*Bohemier gentilhomme*“, że jest on niegorszym aktorem od profesjo-

nalnych, zaś dzięki swej popularności cieszy się na filmie niesłychanym powodzeniem.

Le Théâtre uznaje kino za najlepszą propagandę i nawołuje Francję do rozpowszechniania swoich filmów we wszystkich krajach zamiast książek i pism, nie dla wszystkich dostępnych z powodu nieznanomości języka. Jednocześnie zamieszcza le Théâtre w oddzielnych rubrykach sprawozdania z kinematografów różnych krajów, nawet głosi zmartwychwstanie filmu rosyjskiego (Polikuska podług Tołstoja, Piotr i Alexy i t. d.). O polskich filmach głucho zupełnie; jedna tylko wzmianka o realizacji Bajek La Fontaine'a przez polskiego reżysera p. Starewicza, Czyż nie należałoby i u nas pomyśleć o poważnej propagandzie filmowej?



DWAJ ARTYŚCI NAJDROŻSI NA ŚWIECIE

Znakomity nasz Ignacy Paderewski dał w Paryżu, w sali Erarda, recital, złożony z utworów Chopina. Koncert ten cieszył się niebywałym wprost powodzeniem.

Podczas ostatniego swego tournée po Stanach Zjednoczonych, które mu przyniosło 25 miliardów marek polskich, zawarł znajomość z Jackie Cooganem, cudownym dzieckiem kinematografu, który podpisał właśnie kontrakt w Ameryce na 500.000 dolarów za kilka filmów.

Połączenie artystycznej i technicznej wartości przedstawia francuski film p. t. „*Don Juan i Faust*“. Każdy jego obraz jest skończony w formie. Wprawdzie sam temat jest dość niebezpieczny, gdyż wywołuje w widzu zbyt wiele reminiscencji literackich, to też jedyne zastrzeżenie, jakie można by w stosunku do tego filmu zrobić, jest za duży nacisk na malarską i literacką stronę obrazu, a za mało tego, co jest podstawowym warunkiem kinematografu — akcji. Nie obniża to bynajmniej estetycznej wartości obrazu, która, wraz ze świetną grą artystów, a w szczególności p. Jaque-Catelaina, tworzy całość wywierającą głębokie wrażenie.

„*Pielgrzym*“, farsa Karola Chaplina, grana jest obecnie z wielkim powodzeniem w całej Ameryce ze względu na niezwykle efekty komiczne.

Dramat „*Pasteur*“ wywołał w paryskim świecie filmowym ogromną polemikę. Inscenizacja odznacza się prostotą środków. Treścią filmu są trudne wysiłki wielkiego uczonego, jego doświadczenia z baranami, królami, odkrycie surowicy i t. d. Dramat ten wywołuje wielkie wrażenie, zwłaszcza dzięki grze p. Charles Monsier, który grał rolę „*Pasteur*“ z naturalnością i prawdą.

W tym samym czasie, co „Don Juan i Faust“, ukazał się na ekranie drugi, godny uwagi film, a mianowicie „System doktora Ox“. Scenarjusz jego ma może cechy trochę zbliżone do filmów „amerykańskich“. Szereg tajemniczych zbrodni, niewinna spadkobierczyni, dwa rywalizujące dzienniki, młody i sympatyczny reporter, skaczący z aeroplanu na pociąg i z pociągu na aeroplan, oto są efekty, jakie można znaleźć w tym filmie. Wszystko to jednak wiąże się logicznie w zajmującą fabułę, która przykuwa uwagę widza. Żywość akcji, bogactwo niespodziewanych wypadków, świetna gra i biegłość techniczna czynią film ten miernikiem możliwości i kierunków kinematografji.

Pomiędzy filmami, osnutymi na t. zw. dramatach życiowych, wyróżnia się „Dom kryjący tajemnicę“, znać w nim bowiem wysiłek dążący do podniesienia tego działu sztuki filmowej.

Ogromny entuzjazm wzbudziło ukazanie się filmu p. t. „Matka francuska“, gdyż przeróki i przystosowania tego utworu do kinematografu dokonała nieżyjąca już dziś Sara Bernhardt.

Pejzaże i widoki egzotyczne, Paryż dowcipny i elegancki, bogactwo epizodów i przygód zaciekawiających, oto co nam przynosi „Tao“ w inscenizacji Gustawa Ravela. Afisze wykonał aktor, grający główną rolę, p. J. Hausmann.

W New-Yorku wyświetlany jest dramat p. t. „Furja“. Rzecz dzieje się na morzu. Świetna wy-

stawa i zajmująca gra artystów Richard'a Barthelmess'a i Doroty Gish tworzą harmonijną całość.

Karol Chaplin podobno nosi się z myślą wystawienia „Hamleta“. Jest to jego dawny zamiar, lecz jak dotąd waha się on jeszcze, czy się porwać na tak wielkie dzieło. Zwolennicy talentu Chaplina nie przypuszczali zapewne nigdy, że twórca fars może myśleć o Hamlecie.

„Samelson Company“ robi zdjęcia do obrazu p. t. „Rozwód królewski“, którego tłem są czasy napoleońskie.

W Niemczech największy zachwyt wzbudza obecnie Werner Krauss, interpretator ról Caliganięgo i Otella. Organizuje on swój własny zespół, który pracuje nad don Quichottem. Werner Krauss będzie grał w tym filmie rolę Sancho Pancy.

Niemcy myślą dużo o przyszłości kinematografu i starają się zapewnić sobie pierwsze miejsce w tej dziedzinie. W Berlinie powstaje instytut eksperymentalny, w Monachjum została otworzona wyższa szkoła kinematograficzna, która podlega bawarskiemu ministerstwu kultury i sztuki. Jest ona podzielona na oddziały: mimiki, tańca, ekspresji. Ogromny nacisk położony jest na sporty.

Wykładana jest również kostjumologia i historia obyczajów. Egzamin wstępne są bardzo ostre i odrzucają mnóstwo kandydatów, nie posiadających warunków. Egzamin ostateczne przeprowadzają raz jeszcze selekcję.



LILIANA GISH

w nowym filmie, zdejnowanym obecnie we Włoszech p. t.: „Biała siostra“



POCAŁUNEK W FILMIE

(WYJĄTEK Z DZIEŁA „PROBLEMY KINA”)

Pocałunek jest granicą, gdzie się kończy gra duchów, a zaczyna gra ciał. W tej perspektywie jest znakomitym motywem dla kina.

Już nawet w zwykłym obrazie przedstawia się pocałunek powabnie, czyniąc zadość wymaganiom niezbyt ściśle symetrycznego rozmieszczenia mas: dwie płaszczyzny, przedzielone falistą linią, a zarazem zespolone z sobą przez dotknięcie ust i objęcie rąk tak, że tworzą cudowną jedność optyczną, odpowiadającą jedności duchowej, zawartej w komunji, która między obojgiem w tej chwili się dokonywa.

Obraz ruchowy nie może się zbyt odchyłać od tego obrazu statycznego. Pocałunek jest nie tylko chwilą upojenia, lecz także jakby odpoczynku; może przedtem odbyła się jakaś walka wewnętrzna lub nawet zewnętrzna, jakieś przewyciężenie przeszkód, które oboje drogą kosztowało. W tym chwilowym bezruchu tkwi czar i pikanterja pocałunku, jako ruchu, ten moment jest jego szczytem, z czego jednak nie wynika, żeby się wyczerpywał w samej nieruchomości. Przeciwnie, sam sposób objęcia ramieniem i pochylenia się twarzy ku sobie może zawierać mnóstwo możliwości, odzwierciedlać i charakter osób i gatunek pocałunku. Inny jest t. zw. pierwszy pocałunek, inny pocałunek przyzwyczajenia, inny pocałunek pożegnalny, pocałunek kradziony, pocałunek śmiertelny i t. d.

Dopiero film może te odcienie dobrze ujawnić i różniczkować, a przez to odrodzić kulturę pocałunku, jako estetycznego gestu. Albowiem pomimo niesłychanej, że tak powiem — popularności pocałunku, kultura jego stoi bardzo nisko. Proszę sobie tylko przypomnieć pocałunki, widziane na scenie. Można pomyśleć, że ci aktorzy i te aktorki, którzy się całują, albo wogóle nie umieją się całować, coby świadczyło o ich ubóstwie duchowym, albo wstydzają się całować tak, jak umieją, chowając to dla prywatnego użytku. To, co widzimy na scenie, to są albo obskurne ćmaki, albo jakieś niby bardzo wyrafinowane i rzekomo namiętne wpijania się rzekomych koneserów...

Najczęściej zaś na scenie tylko „markują” pocałunek, kładą sobie głowy na ramieniu, i „tak trwają” przez czas odpowiedni... Bodaj, że to lepsze, niż fuszerka. Na scenie prawdziwy, serdeczny pocałunek byłby właśnie zanadto — prawdziwy, mógłby wywołać zazdrość i niepokój widzów. Moment fikcji zrastałby się zbyt równocześnie z momentem prawdy. Lecz film może rozdzielić oba te momenty. Prócz tego: na scenie pocałunek dla dramatu samego jest tylko znakiem, podporządkowuje się słowom. W zamiarach autora nie może leżeć przeciąganie pocałunku, dyktowanie jego jakości, chyba, że mu to wyjątkowo było potrzebne. Dopiero film, podporządkowując słowo obrazowi, akcentuje pocałunek i może jego pieśń wyśpiewać.

Najpiękniejszy pocałunek widziałem w filmie „Noc pełna trwogi”. Dla bohaterki (Priscilla Dean) zbłąkanej w puszczy, jej towarzysz, młody inżynier, wyszukał w dziupli drzewnej dziki miód i traktuje ją tą zdobyczą. Wtem pszczoła, ukryta w plastrze miodu, ukąsiła ją w usta. Dziewczyna krzyknęła z bólu, młodzieniec zbliżył się, wyjmując żądło i — całuje ją. On ją już kochał, lecz nigdyby się nie posunął do takiej śmiałości, gdyby nie ta pszczoła, która mu drogę pokazała, to też ten pocałunek jest dla niego szczęśliwą niespodzianką. A dla niej? Ona wcale nie wie, czy go kocha; ten pocałunek uświadamia ją. Próbuje się wyrwać, lecz on trzyma mocno: widać, jak zaskoczona jest swoim stanem; lecz potem, w chwili, gdy on cofnął usta, ona — z dalszym gniewem, lecz już także z rozkosznie ośmielającą się żądzą — sama podnosi usta ku jego ustom.

Wkrótce potem widziałem inny pocałunek, równie głupi, jak szablonowy. W „Sodomie i Gomorze” aktorka (Lucy Doraine), grająca żonę Lota, ma być bardzo namiętna i żadna zabaw, całuje zaś w ten sposób, że dostawszy się w ramiona mężczyzny, natychmiast przechyla się nawpół głową wtył gestem biernym i teatralnym.

Gdy widzę taki pocałunek na ekranie, przypomina mi się dosadne słowo, które raz słyszałem w procesie sądowym szwaczki, oskarżonej zato, że oblała witriolem swego kochanka fryzjera. Podobno powiedział do niej:

— Jak całujesz, krowo!

W innych filmach widywałem wynagradzanie jakości pocałunków urozmaiceniem akcesoriów. I tak w jednym filmie komiczno-kryminalnym kochankowie siedzą w dwóch beczkach, i gdy nikt nie widzi, wychylają się i całują. W innym kochankowie znajdują się w więzieniu, mają ręce związane wtył, z nimi ktoś trzeci, który jednak dyskretnie odwraca głowę, i wtedy oni całują się bez objęcia, co rzeczywiście także optycznie odnawia obraz pocałunku. Piękny jest pocałunek przez kraty.

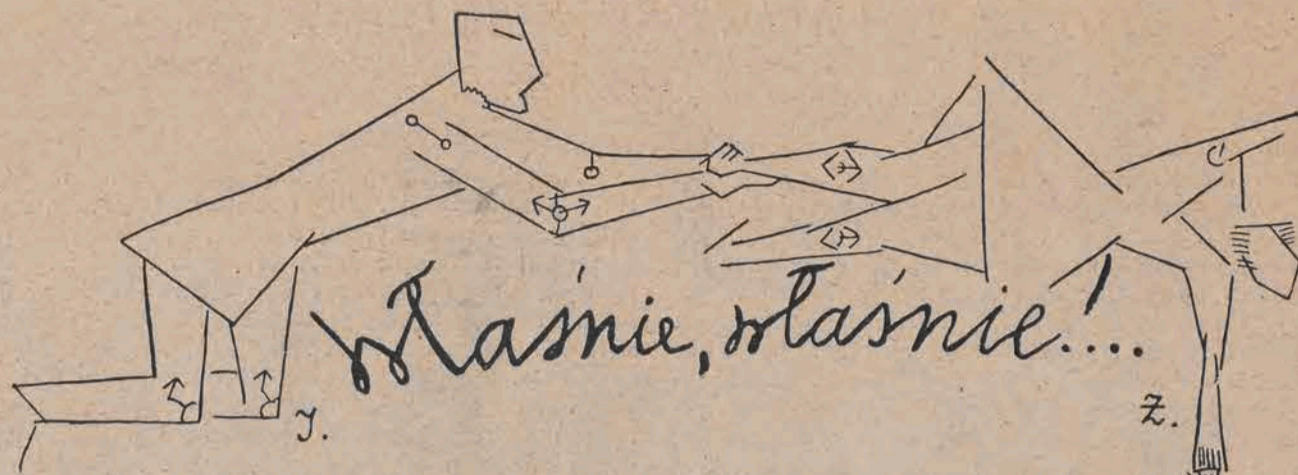
Godny sfilmowania jest pocałunek, opisany w jednej z powieści Kaden-Bandrowskiego. Dziewczynka wychyliła główkę przez żelazne pręty sztachet i nie może jej cofnąć; przechodzący chłopcy całują ją.

Gdybym był przedsiębiorcą filmowym, urządziłbym etudy pocałunkowe w filmie. Wtedyby się pokazało, że całować nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się zdawało. Albowiem częste powtarzanie nie jest wcale ćwiczeniem. Inna rzecz pocałunek dla codziennego użytku, a inna — pocałunek dla bogów.

A przecież w Helladzie odbywały się między młodzieńcami turnieje, kto kogo piękniej całuje...

KAROL IRZYKOWSKI





literatura

Zapoczątkowana przez Tow. „Ignis” edycja „Pism Wybranych” Józefa Conrada Korzeniowskiego, wielkiego prozaika angielskiego, a syna polskiej ziemi posunęła się o krok ważny naprzód. Ukazał się mianowicie tom III-ci (chronologicznie), zawierający słynnego „Murzyna z załogi Narcyza” w tłumaczeniu Jana Lemańskiego.

Ktokolwiek był raz jeden choćby nad brzegiem oceanu i wsłuchał się w jego rozgwar tajemniczy, ktokolwiek zamyślił się choćby przez chwilę nad zagadką wyłaniającego się w bezkresie samotnego żagla — ten pójdzie naoslep z Conradem w morze na pokładzie „Narcyza” i przez kilka godzin fascynującej lektury bardziej się zżyje z psyche oceanu, niżeli przez lata całe wędrówki po Riwierach i plażach. Każda lina, każda płachta na maszcie, każdy człowiek z okrętowego kasztelu stanie się tkanką płuc czytelnika, wdychających słony posmak wodnej pustyni. Jeśli w greckim teatrze dołączy się niedolę ludzką podnosił wąty koturn aktorski, to o „Murzynie” można powiedzieć, że człowiek w nim postawiony jest na koturnie oceanu, i choć uczucia jego czyny i myśli z tej samej co nasze, gliny ulepiono, to jednak bardziej są prześwietlone majestatem wieczności i potęgi życia, niżli najbardziej wzniosłe poematy.

A przecież ów murzyn-marynarz Jimmy Wait, który podczas długiego konania, niby soczewka, ześrodkowuje w sobie zbiorową duszę mieszkańców kasztelu, jest, według autora, tylko pretekstem, który tę duszę zbiorową stawia wobec walki niebezpieczeństw życia. Ludzie, którzy patrzą nieustraszenie w oblicze wszechobecnej śmierci, stają się słabi i trwożliwi, gdy śmierć codzienna zapuka do małego ich domku.

Raz jeden w życiu można taką powieść napisać — wyznał o „Murzynie” sam Conrad. W istocie — raz tylko mogło w literaturze świata powstać tak skończone arcydzieło

W. Z.

Pięć nowel W. Grubińskiego, które ukazały się obecnie pod ogólnym tytułem „Baal”, zajmują w naszej literaturze nowelistycznej miejsce pierwszorzędne. Nowela należy do najtrudniejszych działów literatury pięknej. Syntetyczne ujęcie sze-

rokiego tematu wymaga nie tylko głębokiego znawstwa swego metier — ale pewnych przyrodzonych właściwości talentu, rzadko spotykanych u najpierwszorzędniejszych pisarzy. Ten organicznie związany z talentem literackim nowelistyczny ton posiada właśnie Grubiński w stopniu niezwykłym. Jego nowele są wyborem wzorem ludowego stylu, języka, który dla Grubińskiego stanowi specjalny obiekt troski i umiłowania. Grubiński w tych kilku drobnych utworach (drobnych pod względem ilości wierszy, naturalnie) jest nie tylko świetnym psychologiem, lecz znakomitym architektem, budującym swe utwory z właściwym pierwszorzędnemu artyście smakiem i umiarem.

ST. KIED.

Dwa najnowsze utwory świetnych pisarzy polskich ukazały się w „Książkach ciekawych”, znany dramaturg i wytworny stylista Waław Rogowicz w wybornej zbudowanej powieści p. t. „Samson” ukazał w nowym świetle biblijny konflikt miłosny Samsona i Dalili. Sędzia izraelski, natchniony przez Boga mocarz, nie zostaje tu zdradzony przez córkę wrogiego narodu, z której uczynił swą miłośnicę, ale pada ofiarą miłosnego fatalizmu.

Dalila w powieści W. Rogowicza kocha naprawdę Samsona, lecz staje się mimowolnym narzędziem jego zguby, gdyż ziemską rozkoszą odwołuje go od wznioślejszych celów. Bój namiętności między mężczyzną a kobietą pokazany jest w tej powieści w przepysznych epizodach, przywodzących na myśl „Salambo” Gustawa Flaubert’a, a będącego ulubionym mistrzem autora. „Samsona” zaliczyć można śmiało do najcelniejszych powieści polskich ostatniej doby.

Niezrównana werwa znakomitego satyryka, jakim jest Adolf Nowaczyński, oraz ostry jak stal dowcip polska w jego „Śnie Srebrnym Salomei Kohn” wydanym przez „Książki Ciekawe”. Jest to tytułowa opowieść w zbiorze zawierającym wybór arcydzieł tego najświetniejszego z satyryków naszych, który we wszystkich sferach i dziedzinach życia współczesnego znajduje tematy i... ofiary.

„Sen Srebrny Salomei Kohn” przeciąga najlepsze utwory Nowaczyńskiego i jest w swoim rodzaju pomnikowym okazem jego temperamentu pisarskiego i roziskrzonej fantazji.

teatr

Myśl twórcza, którą począł genialny umysł Wyspiańskiego, przez lata całe czekać będzie na pełne przyswojenie przez teatr. Poeta „Legjonu” i „Nocy listopadowej” tworzył swą koncepcję polskiej sztuki teatralnej w tak ścisłym zespoleniu z realną pracą na scenie, że dotąd jeszcze Kraków tylko rozumie — jeśli nie całokształt artystyczny idei Wyspiańskiego, to przynajmniej szlak jego poszukiwań.

Z myśli też Wyspiańskiego, który Hamleta nawet widział snującego się po krążankach i tarasach wawelskich, zrodził się pomysł odegrania „Wyprawy posłów greckich” Kochanowskiego na dziedzińcu Królewskiego Zamku Jagiellonów. Dn. 16 czerwca cały Kraków stawił się na podwórku arkadowym, aby pod niebem gwiazdzistym letniej nocy przeżyć godzinę wespół z królami i bohaterami Hellady, którzy załudnili starą siedzibę polskich królów, Rektor Wawelu, Szyszko-Bohusz, skomponował po prawej stronie dziedzińca świetne tło dekoracyjne w formie zbiegających z krążanka pierwszego piętra schodów, które spotykając się pośrodku skrzydła na podniesieniu, zwracały się ku widowni szeroką linią stopni. Cztery symetrycznie ustawione słupy osłaniały żyły elektryczne, oświetlające łagodnie trzy kondygnacje sceny. Na tych to schodach u dołu skandował chór swe „stasima”, na tych to schodach rozgrywały się klasyczne „episodiony”, na krążanku wreszcie u góry rozmawiał o wojnie i pokoju król Priam z Antenorem. Cały zespół dyr. Trzcńskiego odczuwał doskonale majestat tego przedstawienia, a pierwsza w nim p. Stanisława Wysocka, stworzyła prześliczną wizję apollinowej wieszczki — Kassandry.

Przedstawienie wawelskie, wyzwolone z pęt sceny zamkniętej, było u nas pierwszą poważniejszą próbą stworzenia prawdziwie monumentalnego teatru. Oby było początkiem dalszych konsekwentnych usiłowań na tej drodze.

W. Z.

„Nie chodzę do teatru, ponieważ wolę kino”. Mówią tak niektórzy, nie za dużo logiczni panowie. Bo przecież jada się i marchewkę, choćby się nawet wołało groszek. Można woleć kino, a jednocześnie

lubić teatr. Znam pewną panią, która woli Mniszkównę, ale czyta Sienkiewicza. Woli „Trędowatą”, ale lubi „Hanię”. Otóż tym panom, co nielogicznie omijają teatr tylko dlatego, że wolą kino, dyr. Szyfman wypłatał w komedji złośliwego figla. Wystawił sztukę, która się kończy kinematografem, autentycznym kinematografem. Rozdokazywany pieszczoch Paryża, p. Sacha Guitry, autor „Zdobycia twierdzy” (w Teatrze Polskim pp.: Fertner, Kamińska, Kościeszanka, Junosza-Stępowski, Bryliński, Owczarska, co wieczór pełno), napisał rzecz, zatytułowaną „Pokojówka szuka miejsca”, znajdującą swój epilog na autentycznym ekranie. Jest to ostatni dreszcz nowoczesności w teatrze. Kto się wstydi chodzić do teatru, ten, idąc do komedji, może powiedzieć w domu:

— Idę do kinematografu.

P. Saszę Guitry nazwałbym pod pewnym względem współczesnym Moliere. Moliere był mistrzem zabaw Ludwika XIV. Pisał nietylko „Skąpca” i nietylko „Świątoszka”, pisał również farsety, zakończone baletem i piosenkami. Ludwikiem XIV dzisiejszej demokratycznej Francji jest lud francuski, inaczej: francuska publiczność. Ta publiczność, umiejąca ocenić poważną twórczość Henry Becque’a, lubuje się przede wszystkim w wesołości lekkomyślnej, a pełnej gracji. Pocóż budować komedję według klasycznych wzorów, pocóż lepić z atramentu „prawdziwych” ludzi, pocóż dbać o konsekwencję wypadków i charakterów? Przyszliśmy do teatru, aby się pośmiać, czy tak? A czy śmiać się można tylko na komedji świetnie zbudowanej? Zaiste, brak konsekwencji w toku wy-



„ŚWIT DZIEŃ I NOC”

A. WĘGIERKO I H. MALICKA

TEATR MAŁY

Fot. St. Brzozowski

padków może być wdziękiem, a co do charakterów, to, doprawdy, można je zastąpić dowcipem, i nikt z tego powodu nie będzie pokrzywdzony, bo dobry dowcip poszukiwany jest, jak pieniądz. Bawmy się! — zdaje się wołać p. Guitry — bawmy się anegdotą, piruetem, uśmiechem pięknej zalotnicy, bawmy się wszystkim, co nam podpadnie pod rękę. Byle co może nam sprawić przyjemną wesołość, jeżeli tylko nie jesteśmy śledziennikami. Z takiej zasady twórczej powstało „Zdobycie twierdzy”, i z takiej samej zasady wyrosła luba farseta p. t. „Pokojówka szuka miejsca”. Jednym z kardynalnych postulatów takich utworów jest osobisty wdźwięk wykonawców. P. Brydzińska jest śliczna i urocza, brawol panie Guitry. Swoją bardzo miłą wdźwięk posiada p. Gromnicka; wybornie! panie Guitry! Podoba nam się p. Zelwerowicz, Maszyński, Biegański, ach, to się panu udało, p. Guitry! Huczą oklaski, w teatrze gwarno, pogodnie, pełno. Dzisiejszy Ludwik XIV klaszcze, wybuch śmiechem, jest zachwycony, i, oczywiście, ma słuszność. Komedja Sachy Guitry nie robi najmniejszej krzywdy „Boskiej komedji” Danta.

„Świt, dzień i noc” p. Dario Niccodemi to trzy akty w dwie osoby. Treścią tej wybornie napisanej komedji jest flirt dwojga młodych ludzi. Od początku do końca dialog. Dialog nie wykwinął, ani szczególnie dowcipny, ani oryginalny, ale pierwszorzędnie sceniczny, czyli dialog-akcja. Dlatego „Świt i dzień i noc” słuca się z zajęciem od początku do końca, bał słuca się z przyjemnością, gdy rolę niewieścią interpretuje tak wdzięczna młodość kobieca, jak ta, którą reprezentuje p. Malicka. Flirt młodzieńców najczęściej kończy się małżeństwem. Tak właśnie kończy się i trzyaktowy flirt bohaterów p. Niccodemi w przekładzie p. Perzyńskiego. Flirt ten na scenie teatru Małego rozpoczyna Mario, p. Węgierko, z Anną, p. Malicką, oboje

bardzo nam się podobają zarówno o świcie, w dzień, jak i w nocy. P. Węgierko odnowił znajomość z Warszawą, z której wyjeżdżał dwa lata temu jako aktor zdolny, lecz pełen brzydkich wad; zalewał się wówczas sentymentalizmem, przechodzącym w chciwość, i przybierał tony rozpieszczanego chłopca, mimo że go nikt nie pieścił. O świcie Niccodemi nie zaważyliśmy, aby przywiózł z Krakowa ów przykry sentymentalizm i kaprysy dziewczyny w spodniach; w dzień Niccodemi, podczas spożywania śniadania, p. Węgierko miał przelotny moment (lecz tylko przelotny) moment udawania rozkapryszonyj panienki; ale w nocy (Niccodemi) przemówił z męskim liryzmem. P. Węgierko zrobił ogromny krok naprzód w dziedzinie umiejętności aktorskiego pięknego a trudnego rzemiosła. Ten młody człowiek staje się poważną siłą sceniczną.

P. Malicka wszystko co mówi ze sceny, mówi z tak głębokim przekonaniem, że widownia wierzy w prawdę inkarnowanej przez nią postaci. Tę prawdę zdobi i czyni miłą uroda p. Malickiej. To też trzyaktowy dialog, grany obecnie w teatrze Małym, słuchany jest przez przepelniony co wieczór parter i rzęsiście oklaskiwany.

„Pani Walewska” p. Gąsiorowskiego napozór jest sztuką, uczącą patriotyzmu, a naprawdę (choć z pewnością mimowoli) jest to najnieprzyzwoitsza sztuka w całej literaturze i pseudoliteraturze dramatycznej polskiej. Założenie jej jest takie: „Skromna pobożna kobieta, uczciwa żona, zdradź męża, oddaj się bez miłości Napoleonowi, któremu wpadłaś w oko, i jak najwięcej zato wytarguj dóbr politycznych dla swojej ojczyzny”. I siwowłasy marszałek Małachowski uważa w tym utworze, iż każda droga, prowadząca do wyzwolenia Polski, jest dobra, nawet ta, która biegnie przez cesarskojeneralską garsonjerę. Droga do wolności dobra jest i przez lupanar! Wię-



KAZIMIERA KOPYCIŃSKA

„Pani Walewska” Teatr im. Bogusławskiego

Fot. J. Malarski

KORYFEUSZE TEATRU

V

Rys. Edwarda Głowackiego

VI



WŁ. ORDON-SOSNOWSKA



JÓZEF WĘGRZYN

cejl Przez tworzenie lupanaru! Bo pani Walewska jeszcze nie jest metresą Bonapartego i nie ma zamiaru nią zostać. Na miłość boską przestań być uczciwą żoną, przypraw rogą małżonkowi z miłości dla kraju! Nie kochasz Napoleona? Głupstwo! Oddaj mu się, nie kochając go! Udawaj uczucie, jak płatna kobieci, bo to dla Polski!

Niemoralność i nieprzyzwoitość „Pani Walewskiej” polega nie na tem, że bohaterka tej sztuki porzuca wkońcu męża dla kochanka, (bo opuszczenie starego niekochanego męża dla człowieka kochanego, nie ma w sobie nic niemoralnego), lecz na tem, że namówiona bohaterka działa w buduarze z wyrachowaniem przemysłowca, i że w tej sztuce mówi się o odkupieniu Polski za cenę... rozkosznej sypialni! Jeżeli ówczesny marszałek sejmu w ten nieobyczajny sposób ważył zapalać „boga wojny” dla polskiej cnotliwej a pięknej matrony, to p. Gąsiorowski, biorąc stąd pisarski asumpt, winien był poczęstować teatr nie liryką, ale palącą satyrą. Zresztą, wolno mu było poprawić historję. Mógłby np. stworzyć potężny dramat o pani Walewskiej, jako nowoczesnej Judycie, Judycie miłości. Nie mieczem zabija nowoczesnego Holofernesa (w innej, niż Holofernesowa starożytna sytuacja polityczna), ale podbija go miłością, a to z żarliwego ukochania swej ojczyzny; z nieskończonej miłości Polski ogarnia panią Walewską płomienną miłość dla Napoleona, bowiem jest to mąż, który może wrócić Polsce niepodległość; pani Walewska dobywa z swego serca takie niewiarogodne bogactwo upojen dla wielkiego kochanka, że olśniony, tonący w szczęściu Napoleon nie może nie chcieć, czego dla swej ojczyzny pragnie ta przedziwna miłośnica. Takie odkupywanie ojczyzny przez miłość nie byłoby niemoralne, bo miłość dla genialnego wodza wyrastałaby tutaj z miłości ojczyzny i w tej miłości by się zatapiała.

Teatr Imienia W. Bogusławskiego wystawił „Panią Walewską” bardzo starannie.

W roli tytułowej wystąpiła p. Kazimiera Kopycińska i wzięła dla pani Walewskiej grzmoty oklasków, zasłaniając trudny, bo rozpaczliwie banalny, tekst roli swoim osobistym czarem. Jeżeli historyczna „Marie” była tak piękna i tak poetycznie wdzięczna, jak p. Kopycińska, to nic dziwnego, że Napoleon nie mógł od niej oderwać oczu i że na długo przyległ do niej wzruszonym sercem.

WACŁAW GRUBIŃSKI



„Księżniczka Olala” Teatr Nowości
Elna Gistedt w sukni z białego crêpe de chine'u z białą koronką.

Fot. St. Brzozowski

Lola, Lala, Olala! W głowie się kręci. Już same tytuły tańczą i skaczą. Kompozytorowie operetek doszli do tej perfekcji, że w tytule dają więcej treści niż w samej treści. „Szalona Lola” Hirscha to prosto jak gdyby uśmiech w stronę p. Kazimierzy Niewiarowskiej. Trudno o operetkę, bardziej odpowiednią dla niej, niż ta. Rozumie się, że i o wszystkich innych operetkach powiedzieć można to samo: wszystkie są ukłonami w stronę dawnej „Kazi Niewiarowskiej”, a teraz p. Kazimierzy Niewiarowskiej, która posiadała wszystkie tajemnice uwodzenia scenicznego, dojrzały i wyrównany pod każdym względem smak i wdzięk.

„Szalona Lola”, zainaugurowała sezon deszczowy tegoroczny, który ktoś naiwnie nazwał letnim. Scena letnia Wodewilu jest przyjemna i estetyczna, a wieczny i niewyczerpany humor pp. Mozozowicza, Redy i Szczawińskiego, są silniejsze nawet od niepogody i stale ściągają publiczność, która trzęsie się z chłodu, ale i ze śmiechu i bicia oklasków.

„Księżniczka Olala” Gilberta to najnowszy triumf teatru Nowości, a właściwie tem samem i p. Elny Gistedt. Do liczby różnych księżniczek operetkowych przybyła i Olala, która gdy naśladuje styl wulgarny i mówi „Nie trza piasku”, widownia jest wprost wniebowzięta. Albowiem jest ona prawdziwą księżniczką i gdzieś tam pętają się koło niej jakieś nazwiska, rosyjskiej arystokracji. Wogóle, jak tylko księżka lub księżna, to już tylko rosyjscy. Teatr ciągle jeszcze wzdycha — nie on zresztą jedynie — do czasów przedbolszewickich.

Gilbert niezbyt hojnie rozsiał muzykę po wesołym tym wodewilu, ale jego orkiestra ma tematy wdzięczne i dobrze zinstrumentowane. Oczywiście punktem lekkości — bo ciężkość nie ma tu nic do roboty, jest p. Gistedt. Jej polszczyzna działa na widzów jak jej piękne dessous, a dessous — jak polszczyzna; uważają, że wdzięczniejszej i bardziej koronkowej mo-

wy nie ma na świecie. To znaczy, że gdy ta ciekawa artystka będzie już całkiem poprawnie mówiła po polsku, przestanie być Maskotą i przynosić szczęście sobie i publiczności.

Tymczasem jednak smukła i wiotka jak biały powój heroina — równa się siedmiu krowom tłustym dla „Nowości”, a p. Domoślawski, rad z tego, doskonale gra jej głównego partnera.

Takie teraz czasy nastały, że każdy podłotek marzy o scenie lub ekranie. Pociąga go zresztą nietyle zamiłowanie ku Sztuce, ile pragnienie blasku, sławy, kariery. Podłotki owe więc, a także i takie, którym, wedle Boy'a, nie pozostaje nic, jak tylko „zostać artystką”, przepelniają szkoły dramatyczne i filmowe. Każda pragnie jak najżybciej skończyć szkołę i dorwać się do sceny, a tam zdobyć zaraz stanowisko. Na szczęście dla publiczności teatralnej, nie idzie to tak łatwo. A jednak szkoły pod wpływem uczennic rzeczywiście skierowują cały wysiłek na opracowanie poszczególnych ról, w karygodny wprost sposób zaniedbując alfabet aktora — dykcję i deklamację.

Nietrudno się było o tem przekonać na popisach. Miało się wrażenie, że popisujący mówią sobie sekrety. W trzecim rzędzie Reduty trudno było chwilami usłyszeć choć jedno słowo.

A szkoda, gdyż niewątpliwie z licznych zastępów adeptów i adeptek udałoby się wyłonić parę zdolniejszych jednostek, które pod dobrem kierownictwem pedagogicznym mogłyby w przyszłości być pożytecznymi pracownikami sceny.

Do takich zaliczyć należy przedewszystkiem prawdziwie utalentowane pp. Gryf-Olszewską, i Olską, ponadto zaś pp. Piaszkowską (śliczne warunki zewnętrzne), Czartorzyską, Galicką i Frenklównę, oraz pp. Szletyńskiego (role charakterystyczne) i Idźkowskiego (obiecujący amant).

Ze szkoły p. Hryniewieckiej wyróżniły się pp. Dziewońska, Głogowska i Gralińska oraz p. Znicz, bardzo uzdolniony w kierunku charakterystycznym. H. L.

„Szczęście Mary” (I. Gilberta) przeszło na plan drugi, pomimo, że piękną nagrodzoną powieściopisarką była p. Kazimiera Niewiarowska (czyż ona myślała kiedykolwiek, że zostanie literatką?), wobec pierwszorzędnego szczęścia Władysława Szczawińskiego, który dostał na imieniny rumaka. „Konia z rzędem!” powiedzieli koledzy sympatycznego dyrektora, „jeśli uda ci się umontować naprędce scenę zimową”. Jakoż, udało mu się. Wprawdzie czekaliśmy w westibalu pięć kwadransów na chwilę, kiedy Mary zacznie pokazywać swoje szczęście, aleśmy się doczekali. Więc koń musiał być oczywiście bez rządu. Rzędów pełnych publiczności było ze dwadzieścia. Słowem cały teatr Wodewil wypełnił się. A kiedy po drugim akcie wprowadzono na scenę szczęście Władysława Szczawińskiego w postaci pięknego wierzchowca — sala uradowała mu się znacznie więcej, niż marszałkowi Fochowi i królewskiej parze rumuńskiej (zwłaszcza tej ostatniej).

Wierzchowiec oszołomiony światłami, stosami kwiatów i piękniemi dokoltami pań zachował się jednak poprawnie. Tylko robił krytykę operetki, która widocznie nie podobała mu się, mimo świetnych parodij dorobkiewicza - dyplomaty - Redy. Krytykował bezlitośnie, gdyż poprostu zjadł od razu pół najbliższego wieńca. C. J.

Premjera w teatrze „Qui pro quo” kiedy przestała już być premjerą (a nastąpiło to niewątpliwie dnia następnego) jest znowu pełnym humoru i werwy scenicznej programem, obfitującym w momenty nieprzymuszonej wesołości. „Beniek”, którego nie mieliśmy sposobności oglądać z powodu choroby p. Ordonówny (a szkoda! Tom był już ucharakteryzowany na ślicznego rudego żydka i wyglądał jak amokl) dopełnia całości. Pan Bodo bodaj że był najbardziej amerykański, jak tylko można to osiągnąć na ul. Senatorskiej bądź co bądź. Pani Nowicka również. Trzeba wogóle przyznać, że „Qui pro quo” nie ma wykonawców którzy nie pozostawiliby po sobie miłego wspomnienia. Wzrusza-

wprowadziło w świetny humor. Mile bardzo była grana sztuczka pod tytułem „Suknia od Zmigrydera” Sztukę tę widziałem już w Paryżu z małemi zmianami. Powodem zdrady małżeńskiej nie była suknia od Zmigrydera, a na afiszu autorem był jakiś Francuz (w Wiedniu n. p. „Wesoła wdówka” napisał Lehar, a w Krasnojarsku... pan Leontiew). Rozczulająca jest i trudna Kreacja p. Toma w „Beńku” Znakomity ten artysta świetnie wczuł się w typ „biednego rudego żydka” Dlaczego tekst piosenki brzmi „czy ty rozumiesz po żydowsku” czy sztuka jest tłumaczeniem z żydowskiego? Spektakl kończy Chaplin! Orgja humoru amerykańskiego, o którym wspominam wyżej.

„Stańczyk” wystąpił z wielce urozmaiconym i obfitym programem. Nie zbaczając z zasadniczej linii satyry politycznej (komiczne zmarszczenia brwi i bezlitosny sarkazm p. Jastrzębca poprzez monokl i uśmiech wytworny, budzą uczucie grozy i nadzieję lepszych czasów w polityce świata) roi się tam od scen i humorów wesołych i smacznych. Do takich zaliczam piosenki p. Halmirskiej, której interpretacja, muzykalność, wdzięk, warunki zewnętrzne, kwalifikują ją na każdą prawdziwą estradę kabaretową. Takim też jest zawsze p. Rentgen, nieprzeciętna tancerka p. Bekeffi, monolog p. Lawińskiego, swoboda i duże poczucie dyskretnego komika p. Znicza. Program ten absolutnie zobaczyć należy.

POR



ANTONI FERTNER

jąca była p. Pogorzelska w „Boskiej noc”. Od fraka zaczynając, kończąc na jej własnej skórze, niema takiego kostiumu i charakteryzacji, w której wyglądałaby banalnie lub nudnie.

Wszystko razem biorąc, to nie jest żadne qui pro quo, tylko teatrzyk z własną miłą fizjognomią i zgranym zespołem.

Dzięki temu też miłe wrażenie robi mała operetka „Sitzbad w Wenecji” z nowego, ostatniego programu. Ładny, dobrze śpiewany tercet, niezawodny humor p. Toma i pani Charan. (Czy w tej wesołej operetce oświetlanie sceny nie było trochę z drugiego aktu Kupca weneckiego?) W „Qui pro quo” język polski w interpretacji panów: Toma, Lawińskiego, Borońskiego i Ursteina zyskał całkowite prawo obywatelstwa ku absolutnej ucieście naszego miasta. Ja sam w antrakcie na propozycję kupna programu, odpowiedziałem sprzedawcy „dziękuję się z panem” co nas od razu

!!CZYTAJCIE!!

OSTATNIE NOWOŚCI
TOW. WYDAWNICZEGO „IGNIS”

JOSEPH CONRAD:
FANTAZJA ALMAYERA
MURZYN Z ZAŁOGI
NARCYZA

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ:
HILARY
SYN BUCHALTERA

JACK LONDON:
OPOWIEŚCI MÓRZ
POŁUDNIOWYCH

JACK LONDON:
NA SZLAKU

JACK LONDON:
WILK MORSKI

JERZY SOSNKOWSKI:
DOM FILOZOFÓW

MYDŁO, KREM I PUDER
KONIK
DLA DELIKATNEJ CERY

muzyka

Popisy, bratnie pomoce, debiuty i t. d. O straszny dla sprawozdawców muzycznych miesiącu czerwiec! O straszne sale koncertowe, w których tysiąc lub pół tysiąca młodziutkich adeptów sztuki tak zawzięcie oklaskuje występy swoich kolegów, że raz po raz panika człowieka ogarnia, czy oni nie zechcą bisować. Niestety, przeważnie bisują! I popis trwa nie dwie lecz cztery godziny.

Zresztą, są to jedyne koncerty, które w tym roku mogły się szczyścić pełną widownią.

Pewną ręką, że nie będziemy oddani na łup sympatycznej, ale nad miarę rozochoczonej i zapalonej młodzieży, dawał koncert uczniów Konserwatorium, który miał uświetnić Pan Prezydent Wojciechowski z swą rodziną.

Jakoż, był to wieczór muzyczny naprawdę poważny. Demonstrowali i kreowali swoje kompozycje uczniowie klasy prof. Statkowskiego: panie Ilza Niekraszowa, Helena Dorabalska, panowie: Jan Maklakiewicz i Kazimierz Wiłkomirski. Były to same utwory już prawie dojrzałe, sformowane. Warjacje p. Niekraszowej na kwartet smyczkowy są nawet bardzo ładne; temat, zarówno jak i jego opracowania są soczyste i pełne polotu. P. Wiłkomirski radzi sobie z orkiestrą zupełnie swobodnie i poczyna szeroko. Pieśni p. Maklakiewicza do słów Tetmajera również pisane są z talentem. Śpiewała je przemyciona na ten wieczór z powrotem do konserwatorium śpiewaczka opery p. Teodozja Skonieczna, której piękny mezzosopran już był na tym miejscu wyróżniony.

Prof. Statkowski za wysoki poziom swego kierownictwa był słusznie przez całą inteligencję muzyczną wywoływany.

Najniespodzianie, przed zupełnym utonięciem się do letargu letniego, Filharmonia rozblęła silnym światłem na jeden wieczór piątkowy.

Był to występ chóru męskiego p. Wacława Lachmana, który pośpieszył zaprezentować swoją drużynę po powrocie z Amsterdamu, gdzie otrzymała pierwszą nagrodę na wielkim turnieju międzynarodowym towarzystw śpiewaczy.

Pomyśl, czytelniku, chór warszawski został uwieńczony pierwszą nagrodą. Warszawa nigdy nie brała nagród na konkursach chórów, nawet niebardzo się ubiegać mogła, gdy usta były zakneblowane, a pieśń polska nie mogła przecież wydobyć się z pod opieki żandarmów.

A teraz — stało się. Publiczność tłumnie, jak rzadko kiedy, zebrana w Filharmonji, witała laureatów z wzruszeniem i zapalem. Jeden z członków chóru w obszerniejszym przemówieniu opowiedział historię tej wyprawy, piękne święto nagrodzenia i entuzjazm Holendrów. Ludzie słuchali tej opowieści, jak najpiękniejszej pieśni.

Chór Lachmana zaśpiewał hasło w sposób rzeczywiście wzorowy: były głosy, był świetny akord i pyszny rozmach interpretacji.

Potem śpiewano kompozycje Lachmana, Muszyńskiego, Rudnickiego, Wallek-Walewskiego.

Oczywiście ze szczególnem zaintereso-



PANNA HELENA GĄSIEWSKA-ROJÓWNA
piękna góralka, autorka sztuk ludowych, której ślub
z Miecz. Jerzym Rytardem, młodym poetą z grupy
„Skamandra” — odbył się w końcu kwietnia w Za-
kopianem.

waniem słuchano wielkiej kantaty amsterdamskiego kompozytora Olmana, p. t. Izrael, która należała do obowiązkowych numerów programu konkursowego i odznacza się znakomitą fakturą.

Zapytanie. Czy po tem wszystkim chór p. Lachmana mógł się niepodobać, nie wydawać pierwszym w świecie? Czy mógł kto i chciał krytykować? Oczywiście — nie. A przecież ja mam à priori absolutną pewność, że tam, w Holandji doskonale ten zespół był jeszcze doskonalszy. Napewno tak było. Tutaj, u nas, były pewne odcienie ostre, które, bez wątpienia, zniknęły w wielkiej sali na 30 tysięcy osób.

sztuka

Międzynarodowa Wystawa Dekoracyjna w Paryżu 1925 r. Od jeneralnego delegata do spraw międzynarodowej wystawy sztuk dekoracyjnych w Paryżu 1925 r. p. Jerzego Warchałowskiego dowiadujemy się, że oddawna oczekiwane urzędowe zaproszenie Rządu Francuskiego do udziału Polski w tej wystawie już nadeszło drogą dyplomatyczną, że Rząd Polski zaproszenie to przyjął i że niebawem będzie powołany przez Pana Ministra Oświaty, któremu Rada Ministrów sprawę wystawy tej powierzyła, obszerny Komitet Oficjalny Wystawy. W pierwszych dniach lipca roztrzygnięty będzie w Warszawie architektoniczny konkurs na pawilon polski, który został rozpisany przez Departament Sztuki w porozumieniu z jeneralnym delegatem wystawy. Przygotowania inne są w pełnym toku.

kino

Mimo to, że sezon letni nie jest sezonem atrakcyj i wzruszeń ekranowych, przegląd ostatnio wyświetlanych obrazów nie wypadł ujemnie. Miła, staranna i udana była groteska stylowa w „Światowidzie” z Harry Liedtke w roli głównej (Kobietki już są takie). Cały szereg scen charakterystycznych, kostjumy, bardzo piękne otoczenie pejzażowe, szczęśliwy dobór typów kobiecych, wszystko to razem dało obraz zajmujący i godny widzenia. Szkoda, że umiarkowany ton całej tej królewskiej swawoli pod koniec zamienia się na mocno operetkową szarżę. Wielki cesarz Francji, wraz z dostojnym kuzynem zbyt wyraźnie grają rolę podrzędnych statystów, przy istotnym „królu” ekranu Liedtke.

Wesoła była farsa duńska w „Rococo” (Pat i Patachon). Są to jedyne filmy humorystyczne, najudatniej na amerykańskich wzorowane. Scena w kuchni, z wędrującym po ścianach strumieniem wody, godna jest największej pochwały, jako rodzaj i skala prawdziwego komizmu. Bardzo interesujące były oryginalne zdjęcia z wyprawy Rasmussena do bieguna. „Stylowy” wyświetlał bajkę wschodnią „Szkatułka życia i śmierci”. Treść bajki zasługuje na głębokie milczenie. Ładne kobiety, dużo scen malowniczych równoważą braki. Naogół zdjęcia szare i ciemne. „Wodewil” pokazywał „Kabaret pod nietoperzem”. Niemcy, czasami, jak robią jakiś podrzędny film, ozdabiają go bez najmniejszego skutku jakąś firmą ekranową. W „Nietoperzu”

figurował Krauss. Gorszy znacznie obraz widziałem kiedyś w „Corso”. Pośród nudy, początkujących, drewnianych postaci wygrał coś... Wegener. Filmu to nie ratowało, ale afisz jakoś wyglądał. „Kabaret pod nietoperzem” też nieudany i nudny. Z radością oglądaliśmy szereg scen z Chaplinem w „Apollo”. Naturalnie były to rzeczy produkcji starszej, trochę zniszczonej, pokazywanej zbyt szybko, miało się jednak okazję spojrzeć w tę bezczelnie śmieszna i szelmowską twarz amerykańskiego wesołka. Scena pojedynku w „Carmenie”, najbardziej zachowująca nagłość i całość epizodu, jedynie dawała pojęcie o Chaplinie, którego w Warszawie wcale jeszcze nie znają, a z tych pokazów ocenić dostatecznie nie mogą. Napisy polskie, usiłujące być zabawniejsze i dowcipniejsze od filmu, doprowadzały do rozpacz! Było ich niezmiernie dużo i były znacznie gorsze.

Kino „Palace” pokazywało „Sierotę” z Mary Pickford. Pogodna komedia, pełna rozczulających epizodów małomiasteczkowego środowiska. Na dobrym filmie amerykańskim nie widzi się wcale teatru, aktorów (kto zechce to ocenić)! Niema nadejtych „tytanów” (Janings, Wegener), zmąpionych, przegranych „hypnotyzerów, sonnambulików” (Weidt) niezawodnych „demonów uwodzących” (Junosza). Jakież miłe, proste dzieci, dorastające dziewczynki, robotnicy, pastorki, nauczyciele i ciotki!

Wszystkim wyżej wymienionym przesyłam (!) wyrazy wdzięczności z ponurej krajiny „przystanków tramwajowych” i wszelkiej udręki. Hip, hip, hura!

POR.

Wogóle to i owa

KRÓLOWA RUMUŃSKA MARJA

Stałem się zapalonym monarchistą. I musi się nim stać każdy, kto ujrzał królową Marję. Uosobienie majestatu i królewskości. Wdzięk oszołamiający, upajający a zarazem rzucający na kolana. Nie dziw, że żołnierze rumuńscy ciężko ranni podczas wojny światowej, jako ostatnie pragnienie przedśmiertne, błagali o umożliwienie im spojrzenia raz jeszcze w boskie lica ich królowej. Nie dziw, że umierali z płomiennym okrzykiem „Se trajasc Regina Marja”!

Przyglądałem jej się na raucie w poselstwie rumuńskim. Imponująca blondyna, prawdziwa „belle femme”, zachwycająco wyglądała w swej toalecie ze srebrnej lamy (na Zamku miała także ze złotej lamy), gdy wachlowała się precudnym wachlarzem strusich piór, koloru szerego szmaragdu. Na głowie diadem, w uszach butony, dokoła szyi olbrzymia kolja z pereł, olśniewających swym nieskalanym blaskiem. I to niewysłowione, urocze połączenie niebiańskiego czaru, najmiłszej kobiecości a jednocześnie wyniosłej dostojności.

A głos: to jak harfy dźwięk, to znów jak najmelodijniejszy ton wiolonczeli!

A uśmiech — promienny, pogodny, rozwiewający wszelkie chmurki, kojący zmartwienie, przykrości, bóle... Istna królowa z bajki.

H. L.

KOBIETY, BRYLANTY, JEDWABIE NA PRZEDSTAWIENIU KRÓLEWSKIEM

Wizyta królewska rumuńskiej pary w Warszawie poruszyła dyplomatów, polityków i sfery wojskowe — światu kobiecemu dostarczyła zaś tematu zacieka-wienia! rozmarzeń...

Bo Król i Królowa — to przede wszystkim urok okazałości, przepychu, etykiety, blasku i pięknych form, za którymi przepada każda kobieta.

Na przedstawienie uroczyste w Teatrze Wielkim, wydane ku czci Dostojnych gości, tłumnie też pospieszły nasze panie.

Mundury dyplomatów, złotem i srebrem haftowane uniformy wojskowe, czarne fraki, zawieszane rzędami orderów — oto szczyt wszystkiego, naco pozwolić sobie mogą najwytworniejsi przedstawiciele płci brzydkiej.

Ukazać się w teatrze na królewskim przedstawieniu oznacza to dla pań pozwolenie na przepych stroju i biżuterji.

Skorzystały też z tego pozwolenia w całej pełni.

Na scenie szalał przepych barwy, światła, tańca, artyzmu linii i ruchu pięknych ciał kobiecych — na widowni dekolty, brylanty, uśmiechy, spojrzenia kobiece.

Toalet wspnianych widuje się nieraz więcej, lecz rzadko o równie znakomitą

wystawę publiczną klejnotów. Dla blasku brylantów trzeba też odpowiednio dobranych toalet balowych — bo w skromnej sukni gaśnie przy nich uroda kobieca.

Gdzieś w głębi parterowej łoży jaśnieje kolja tak niebywałego światła, że nie patrzy się ani na suknię, ani na jej właścicielkę — lecz tylko na brylanty. Tu klejnot przyniósł szkodę kobiecie.

Lecz urocza cudzoziemka czarnowłosa, czarnooka, w białej sukni z czarną koronką, podtrzymuje tylko blask

Trudno pisać o wszystkich, wyliczyć najpiękniejsze. W każdej łoży parterowej i na I piętrze skrzą się diademy i korony dziewięciopałkowe, brylantami sadzone.

W tej powodzi drogocennych kamieni młoda i piękna główka cudzoziemki, czarnookiej, czarnowłosej, w czarnej sukni bez najmniejszego klejnotu — jest wprost przykuwająca. Być może — przez kontrast.

Z chwilą jednak, gdy do łoży udekorowanej, zdobnej dywanami i zielenią, wchodzi para Królewska — wszystkie oczy na nią tylko się zwracają.

Królowa Marja zadziwia uroczym wdziękiem.

Ośloniata jest peleryną z fioletowego aksamitu, zakończoną kołnierzem z lisów niebieskich. W rękę wachlarz z olbrzymich popielatych piór strusich.

Jej Królewska Mość zrzuciła okrycie — staje na prozdzie łoży.

Oklaski powitalne — i głowa Królowej z uśmiechem chyli się w podzięce na prawo i lewo. Głowa jej jaśnieje pięknem blond włosów, na których spoczywa diadem kunsztownie wyrobiony w srebrze, uwieńczony perłami i brylantami. Sznury pereł spływają na szyję, kończąc się pendliwem z przepięknych olbrzymich pereł. Perły w uszach, na rękach wąskie bransolety z brylantów.

Blask klejnotów zlewa się z stanikiem ze srebrnej lamy, głęboko dekoltowanym, z wiszącymi od ramion rękawami. Na staniku upięta sukniadraperja z jedwabiu ponsowego, sang de boeuf.

Błękitna wstęga orderu Orła Białego, przecinając toaletę, nadaje postaci Królowej wygląd żywego, barwnego sztandaru.

W otoczeniu Ich Królewskich Mości damy dworu mają toalety jasne, jedna kremową z taką gipiurą, układającą się w lekki tren, druga gładką suknię ze srebrnej lamy.

Piękność i wdzięk Królowej rumuńskiej sprawia, że staje się ona centrem wszystkich spojrzeń.

Gdy w czasie antraktu do salonu foyer teatru wielkiego weszli Królestwo na krótki „cercle” — Królowa Marja okazała swój nieporównany kunszt uśmiechu i subtelnego czaru. Stojąc obok męża, Króla Ferdynanda, jasna, uśmiechnięta ożywiła wlot nieco sztywny z początku nastrojów.

Za przykładem Jej Majestatu w jednej chwili wszczęto rozmowy, powitania, salon zapełnił się frakami i mundurami.

Uśmiech Królowej — to niezawodnie najwyższe źródło osobistego uroku, jakim czaruje ona wszystkich. Warszawa uległa temu urokowi i nie zapomni go, chociaż piękna Pani Rumuńska powróciła już do swej stolicy.

J-ot



KRÓLOWA RUMUŃSKA MARJA

swej urody wąskim diademem brylantowym.

Wspaniałej postawy blondyna w bledziuchno-niebieskiej, gazą krytej sukni z trenem, przepyszna w linii i wyniosła w geście, perłami i brylantami rozjaśnia jeszcze świetlistość swej cery.

Małżonka dyplomaty dźwiga czarnym dżetem szytą suknię, diadem brylantowy dodaje jej okazałości.

Inna z dam ma stanik wyszywany koralami czerwonymi na aksamicie tej samej barwy.

Młodziutkie dziewczę w kremowej sukni z przepaską z pereł na włosach czaruje wdziękiem.



Charlie Chaplin i Pola Negri zaręczają się, odręczają i na nowo zaręczają kilka razy w przeciągu jednego dnia, ku uciesze i zyskom reporterów. Rano Charlie oznajmia dziennikarzowi, iż nie może się żenić, gdyż jest za biedny, zarabia tylko 1000 funtów dziennie. Pismo wydaje dodatek nadzwyczajny. Popołudniu Pola Negri odpowiada w innym piśmie, wieczorem następuje zgoda. Nazajutrz ta sama historia w innym porządku.

Następne zmiany programów kinematograficznych przyniosły w pierwszym rzędzie obraz „My Boy” z Jackie Cooganem, jak go dyrekcja „Pan” i „Światowida” nazwała: „bóstwem widzów kinowych, w sztuce pogodnej jak lazuruwa toń jeziora”. (Ile razy ja pozwolę sobie na podobny wybuch poezji, w życiu codziennym, przyjaciel mój, poeta z zawodu, bije mnie). Niewiadomo, co bardziej podziwiać, czy ten mądrze i prosto pomysłany scenariusz, świetne zdjęcia, rozmaitość kapitalnych epizodów, co razem daje obraz zupełnie nieprzeciętny, czy też małą osobę bohatera, dla którego cała ta historia została wymyślona. Jackie w grze swojej ma nieprzeparty urok dziecka, jak też maestrię skończonego aktora w najlepszym sensie tego słowa. Z dziecięcej buzi bije głęboki smutek i po męsku opanowana troska. Duże, ciemne oczy patrzą mądrze i spokojnie. Z tej głównej, zasadniczej linii przechodzi czasami do szczerego śmiechu, lub też, częściej, do wybuchów głębokiego sentymentu, przed którym korzy się stary, stetryczały samotnik na filmie, wraz z całą

publicznością na sali. Biorąc pod uwagę ogrom panującego niepodzielnie przeciętnego aktorstwa, film amerykański, a w nim nowy malutki bohater, zastanawia i wzrusza. Jackie, w scenie przy katarsyce, grając podwójnie, dla nas tu na sali, i dla tych otaczających go, którzy mają za chwilę zasypać go pieniędzmi na potrzebne lekarstwo, w geście swym, w determinacji jest porywający. Cała ta scena do chwili tańca, ma coś patetycznego prawie.

Drugim amerykańskim obrazem jest „Konflikt” z Priscillą Dean w Stylowym, znów poważny obraz, świetne zdjęcia i pierwszorzędne postacie otoczenia czarującej Priscilly. Głębokie lasy i rwące rzeki są nie banalnym tłem do tego ponurego dość dramatu.

Francuski obraz w „Wodewilu” (Zabawa pana milionera) jest sobie filmem średniej miary, którego zaletą jest mnogość interesujących widoków miast włoskich, Paryża i t. p.

„Córka Napoleona” w Rococo z panną Marą jest typową produkcją handlową na niemiecki sposób, którą zawsze średnia publiczność oglądać może. Jak lokaje — to dużo, dwanaście panien w bieli, dwanaście łóżek, w środku panna Mara. Oficerowie, tłum, statyści, Napoleon... mein Liebchen... chyba jest naco patrzeć!!

PORAN.

sport

Okres po ukazaniu się ostatniego numeru „Pani”, pełen był rozmaitych emocyj sportowych w dziale piłki nożnej. Zarsz na początku „Wisła” (która w sezonie bieżącym zostanie mistrzem okręgu krakow.) rozegrała dwa matche, z „Legją” (3:2) i „Warszawianką” (6:1). Match z „Warszawianką” ukazał w całej pełni zalety drużyny krakowskiej, której atak działał szybko i niezawodnie, że już do przerwy „Warszawianka” przyjmuje 6 bramek strzelonych przeciwko sobie, niewiele mając do powiedzenia po przerwie. Z rozgrywek o mistrzostwo okr. war. był moment, kiedy trzy drużyny warszawskie (Polonia, Legja, Warszawianka) miały jednakowe szanse zdobycia pierwszego miejsca. „Legja” w jednym ze spotkań zdobywa przewagę nad „Polonią” (1:0), A. Z. S. zdobywa przewagę nad „Warszawianką” (3:2), wreszcie „Warszawianka” rozgrywa z „Polonią”



MASZYNY DO SZYCIA KASPRZYCKIEGO

ZNANE Z DOBROCI
Taniol Hurtowo!
Detalicznie! Na raty!

THE KASPRZYCKI COMPANY

SKŁAD FABRYCZNY I WARSZTATY:

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 153

TELEFON 104-51

ODDZIAŁY I PRZEDSTAWICIELSTWA:

CZĘSTOCHOWA, KIELCE, WILNO i t. d.



WOLTERSDFORD

Bieg Belwederski d. 2 czerwca b. r.

Dużą popularnością cieszą się w Warszawie biegi uliczne. Drugi w tym sezonie, t. z. Bieg Belwederski który odbył się d. 2 czerwca, ściągnął znów tłumy publiczności, a Woltersdorfowi przysporzył trzecie z rzędu zwycięstwo. Drugi do mety przybył Kozicki (obydwaj z 60 puł. piech.) trzeci Weligórski.

na remi (3:3). Mistrzostwo wisi na włosku między Polonią i Warszawianką, obiektywnie sądząc, niesłusznie. „Warszawianka” jako jednostka bojowa, jest wątpliwa i stanowi zaledwie dobry, ambitny materiał na przyszłość, wobec tych wahań, jednak ambicje rosna, tylko... nogą sięgnąć, już się jest zwycięzcą. W tej atmosferze dobrych nadziei rozgrywa się ostatni decydujący match między wspomnianymi drużynami, rozwiązując kwestję zupełnie, chwala Bogu, logicznie i normalnie przewagą (7:1) na korzyść „Polonji”. W międzyczasie „Wawel” rozgrywał z „Legją” (1:0), „Czarni” z „Warszawianką” dwa razy (2:1, 2:1), „Polonia” z „Wartą” (4:3) i „Polonia” z Toruńskim Klubem Sportowym. T. K. S. przyjechał do Warszawy z dużą famą wygranego matchu z „Wisłą” i „Polonią” u siebie, o czym informuje korespondencja w Nr 106 „Przeglądu Sportowego” p. inż. Wyrobisz. „Wiszniewski otrzymał dobrą naukę (4 bramki), Polonia w Toruniu dopiero może uczyć się grać”. Wobec tej korespondencji skóra cierpła na widok wchodzącej drużyny na boisko Agrykoli w Warszawie. Match skończył się 4:0 na korzyść... „Polonji”. Ciekaw jestem rewanżowego spotkania z „Wisłą”.

Odbyło się też spotkanie reprezentacji Górnego Śląska z reprezentacją Warszawy, zakończone przewagą bramek (nie przewagą gry) na korzyść Śląska (2:1).

W. P.



„UNDERWOOD PORTABLE”

NAJLEPSZA
MAŁA MASZYNA
DO PISANIA

G. GERLACH, WARSZAWA, CZYSTA Nr. 4

Tow. Zachęty Sztuk Pięknych zjechało już całkiem na... miłośnicy. Jest to jedyny przybytek, od którego boli głowa, bowiem o losach tego przybytku decydują w jednej setnej części artyści, a w dziewięćdziesięciu dziewięciu miłośnicy. Artysta jest to człowiek, który wystawia obrazy w przybytku Zachęty, a wystawiając, podtrzymuje nieszczęsne istnienie instytucji. Za obejrzenie wystawionych prac ludzie uczciwi i niewtajemniczeni w piwniczną pracę klikli, płacą bilet wejścia. Jeśli zaś kto z solidnych obywateli kraju albo wręcz figura, która zrobiła pieniądze na Rudzkich, Cegielskich i in., kupi obraz, artyście odcinają 10% od ceny sprzedaży. Zato wszystko artysta ma prawo głosu na Dorocznym Zebraniu Członków T-wa Zachęty. A członków proszę „Pani” dziś już nie zliczy. Poza artystami bowiem członkiem T-wa może być każdy, kto wpłaci raz na rok piętnaście tysięcy marek. Za tę sumę ma prawo z całą rodziną swoją i nie swoją przesiadywać w Zachęcie od rana do wieczoru, wygrać obraz i gardłować na D. W. Zgromadzeniu. Artystów-członków jest oczywiście niewielu, miłośników-członków jest do stu... tysięcy, może trochę mniej, może trochę więcej. Na dorocznym zgromadzeniu, rzecz prosta,

o wszystkim przyszłości T-wa Zachęty decydują miłośnicy. Miłośnicy rozpanoszyli się do tego stopnia, że na tegorocznym zgromadzeniu, gdy oburzeni zachowaniem się miłośników artyści opuścili salę obrad, jakiś egzaminowany masażysta zwrócił się do artysty prof. W. Skoczylasa.

— Obejdziemy się bez was, obejdziemy!

Nie wątpimy, że wszyscy masażyści z szantażystami włącznie będą żyli bez sztuki i bez niej się obejdą, trudnoby było spodziewać się inaczej.

Pańscy koledzy, panie miłośniku, obchodzą się bez widelca i nie znają alfabetu, i mimo to stać ich nato, by byli członkami Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Prawda?

Ale tu chodzi o zgoła inną rzecz, której pan nie zrozumie, może tylko w chwili już zbliżającej się do pana śmierci.

Sarah Bernhardt, której żywotność była wprost przysłowiowa, pisała do młodego poety, który ją miał odwiedzić: „Proszę bardzo o punktualność, gdyż byłabym niepokieszona, gdybym z pańskiego powodu spóźniła się na tenis”. Liczyła sobie ona wtedy lat 64.

PLOTECZKI TEATRALNE

Nowy sezon teatralny zapowiada zmiany organizacyjne w teatrach miejskich. Dla wszystkich teatrów dramatycznych miejskich wyznaczono trzech współrzędnych dyrektorów pp. Solskiego, Osterwę i Gorchyńskiego. Wszystko to ludzie wielce utalentowani. Każdy z zapałem prowadził swój teatr. Jak będą rządzić, jako triumwirat, któż to wie? Wszystkim panom znane jest wszak przysłowie: „Gdzie kucharek sześć...” No, ale też dyrektorów jest tylko trzech, a więc zaledwie połowa...

Jednocześnie zaczyna się pasek na aktorów. Co wybitniejszy aktor czy aktorka, otrzymując propozycję od swego czy konkurencyjnego dyrektora, chowa się i czeka, aż wzrośnie w cenę.

Przeciwnie aktorzy drobniejsi a zwłaszcza „przychówek” aktorski usilnie zabiega o engagement.

FORPOCZTY MODY

Każda szanująca się elegantka ma w tym sezonie przynajmniej jedną suknię lub jeden kapelusz koloru zielonego. Jest to jak gdyby próbka lata, którą nosi się z sobą w ocze-

Fuchs

CZEKOLADA
MARMELADA
KARMELKI
KAWA
HERBATA
KAKAO

FRANCISZEK
FUCHS & SWIE
S.A.

WARSZAWA
MIODOWA 18
ZAL. 1829 R.

L'ART DE LA TEINTURE ET DU POSTICHE



DENYS S-té

CZYSTA 6.

VARSOVIE

EGZYSTUJE OD ROKU 1891

„CAPILLIFER”
T. L. GRABOWSKIEGO



ŚRODEK
WZMACNIAJĄ-
CY WŁOSY
I NISZCZĄCY
ŁUPIEŻ



WARSZAWA, AL. JEROZOLIMSKIE 68

DALMA

PROSZEK PRZECIW ROBACTWU
WYRÓB WSCHODNIEGO CHEMICZNEGO TOW. AKC.
ŻADAĆ WSZĘDZIE

kiwaniu prawdziwego ciepła. Nie jest to wyraźny kolor trawy lub liści, raczej kolor jasnej rezedy, miły dla oka w niewielkiej ilości. Mamy nadzieję, że nie rozpowszechni się on u nas z taką szybkością, jak w Paryżu, gdzie w każdej wystawie sklepowej, w każdym powozie i każda główka kobieca zieleni się bujnie.

W Teatrze Fennina w Paryżu wznowiono Piątki Mody i pierwszy poranek poświęcony był kostjumom i krótkim perynkom. Dowcipny odczyt o tych sprawach palących miał arbiter elegancji sam p. André de Fouquières, ilustrację tworzyły manekiny pierwszorzędných firm. Drugi piątek miał za temat „suknie wyścigowe” w dialogu wybitnych aktorów Komedji Francuskiej z defiladą manekiniów i popisem tancerek i aktorów.

Chustki i chusteczki wszelkich form i rozmiarów są niezwykle modne tego roku, a więc duże barwne do kieszeni żakietu, małe malowane do przesunięcia przez bransoletkę, obciskającą rękę. Trójkątne jako fachu zawiązane na szyi; wreszcie w wielką kolorową kratę służą do pokrycia kapełuszy lub parasolek.

Praktyczną nowością tego sezonu są tuniki zawiązywane z tyłu, w razie chłodu można je odwiązać i narzucić na plecy, jako pelerynkę, a nawet spać na biodrach i wytworzyć w ten sposób rodzaj żakietu bez rękawów.

PORADY KOSMETYCZNE

Stefanowi. Jeżeli wypadanie włosów jest dziedziczne — to rady niema, łysinka będzie. Jeżeli zaś skutkiem łupieżu, to płyn „Eos” wyleczy z łupieżu i włosy mocno rosnąć będą. „Eos” wcierać co 4 dzień, a po 3 razach przeelektryzować „Radio”, mniej więcej 3 razy, w odstępach co 4 tydzień, a włosy szybko się zagęszczą.

Lublincance C. Piasek alkaliczny — magnezjowy dostanie pani w magazynie Dymowskiego w Lublinie — obok Krakowskiej Bramy. W pudełku z tym piaskiem jest specjalna szczoteczka. Szczoteczkę tę umoczyć w gorącej wodzie, namydlić, zanurzyć w piasku i wyszczotkować całą twarz, a w główne gdzie są wągry. Dwa razy na tydzień zabieg ten zastosować, a wszystkie wągry znikną, tłuszcz przestanie się wydzielać i cera będzie piękna.

Narcyzowi, Filomenie i wielu innym — odpowiedzi wysłę pocztą. Klimecki.

Florianowi. „Eos” i tylko „Eos” powstrzyma wypadanie włosów, pobudzi je do porostu i łupież zniknie. Lepszego środka nad „Eos” nie znam i niema.

Piwonji S. K. Czerwoność policzków i nosa może pochodzić od odziebienia lub od rozszerzenia krwionośnych naczyń, jak w jednym tak i drugim wypadku należy zastosować albo prądy galwaniczne albo przypalenie kaudorem elektrycznym. Kremy tu nic nie pomogą.

Leoni z Grodna. Jeżeli Sz. Pani pragnie wkrótce oswobodzić się od wągrów, pozbyć się nadmiernie wydzielającego się tłuszczu i mieć zwężone pory, to proszę zaraz zastosować piasek i szczotkę Dr. Séguinanda, szczotkując co 3-ci dzień całą twarz, a wkrótce otrzyma Pani czystą i piękną cerę. Tak obfite piegi jak Pani opisuje, że cała twarz aż pobrunatniała, to tylko płyn roślinny Tuja zdoła ten defekt usunąć. Raz dziennie smarować Tują i co 3-ci dzień zwilżyć wodą utlenioną.

Tak Tuję jak i piasek dostanie Pani w Grodnie, w składzie aptecznym Malinowskiego.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa, Mazowiecka 11 (w druk. „Rola”)
Telefon 180-27

ODDZIAŁ REDAKCJI i ADMINISTRACJI
we Lwowie, J. Kuczabiński, ul. Turecka 2
w Zakopanem, M. Mieczysławski,
willa „Orawa”

SKŁAD GŁÓWNY:
Księgarnia E. WENDE i S-ka Warszawa,
ul. Krakowskie-Przedmieście 9, tel. 14-15

Nakładem:
TOW. WYDAWNICZEGO „PANI”

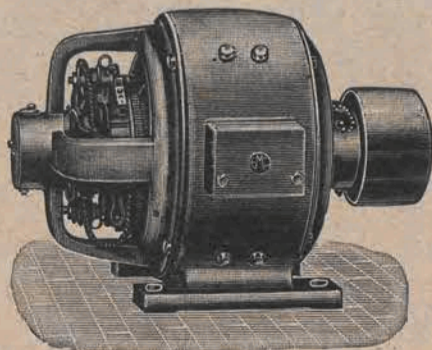
Kierownik Artystyczno-literacki:
JAN ŻYZNOWSKI

Odbito w drukarni J. Buriána, Mazowiecka 11.

INŻ. MARCIN MALINIAK

POLSKO-WŁOSKIE BIURO HANDLOWO-PRZEMYSŁOWE
WARSZAWA, UL. WSPÓLNA Nr. 7, m. 6. TELEFON Nr. 158-20

Adres telegraficzny: MARBREDA



ERCOLE MARELLI & Co. S. A. MEDJOLAN
MASZyny ELEKTRYCZNE, SILNIKI
GENERATORY, ALTERNATORY,
TRANSFORMATORY
WENTYLATORY
STOŁOWE, ŚCIENNE, I SUFITOWE
WENTYLATORY ODŚRODKOWE
EXHAUSTORY, ELEKTROPOMPY WYSOKIEGO I NISKIEGO
CIŚNIENIA, AGREGATY (DYNAMO Z MOTORAMI SPALINOWEMI)

STALE NA SKŁADZIE kilkaset motorów na prąd zmienny i stały, wentylatorów i elektropomp

Victor-Film

TO NAZWA NOWEJ SPÓŁKI Z OGR. ODP., ZAWIĄZANEJ W WARSZAWIE,
KTÓRA W PROGRAMIE SWOJEJ PRACY POSTANOWIŁA DĄŻYĆ DO
SYSTEMATYCZNEGO STWARZANIA PODSTAWY DLA ORGANI-
ZACJI POLSKIEGO PRZEMYSŁU FILMOWEGO PRZEZ WY-
TWARZANIE FILMÓW WŁASNYCH, WYKONYWANIE
CAŁOKSZTAŁTU PRAC ARTYSTYCZNO-TECH-
NICZNYCH NA ZAMÓWIENIE, STWORZE-
NIE WŁASNEGO ZESPOŁU ARTYSTY-
CZNO-TECHNICZNEGO, ORAZ
KUPNO I EKSPLOATACJĘ
SCENARJUSZY I T. P.

VICTOR-FILM ZAWIĄZAŁ STOSUNKI Z RYN-
KIEM ZAGRANICZNYM, PRZYSTĘPUJE WIĘC
DO PRACY Z PEŁNĄ GWARANCJĄ
EKSPORTU SWEJ PRODUKCJI NIE-
TYLKO NA RYNEK CAŁEJ
EUROPY, ALE I AMERYKI
KIEROWNICTWO TEJ NOWEJ PLACÓWKI SPO-
CZYWA W RĘKACH DOŚWIADCZONEGO RE-
ŻYSERA I ORGANIZATORA P. WIKTORA
BIEGAŃSKIEGO, ZNANEGO W NA-
SZYM ŚWIECIE FILMOWYM Z DO-
TYCHCZASOWEJ REALIZACJI
NIEPRZECIĘTNYCH
SWOICH ZAMIERZEŃ
ARTYSTYCZNYCH

JUŻ W NAJBLIŻSZYM CZASIE PRZYSTĘ-
PUJE VICTOR-FILM DO WYTWA-
RZANIA PIERWSZYCH OBRA-
ZÓW, ZAKROJONYCH NA
MIARĘ PRAWDZIWIE
EUROPEJSKĄ
SIEDZIBA FIRMY MIEŚCI
SIĘ PRZY ULICY PIĘK-
NEJ Nr. 8 M. Nr. 5
TELEFON

30-63

BR. UNKIEWICZ

HOŻA Nr. 54



POLECA W SWEJ NOWOOTWORZONEJ FILII
PRZY UL. KRUCZEJ Nr. 30
WYKWINTNE OKRYCIA, KOSTJUMY
I KONFEKCJĘ DAMSKĄ

Nad morzem —
w górach —
na wsi —

dobra książka
jest niezbędnym uzupełnieniem
wyczasów

Jakie książki zabiorę z sobą tego roku?

Oto do wyboru ostatnie nowości sezonu:

GERMAN J. Twarz z za kurtyny. Powieść	2.90
GOETEL F. Kar-Chat. Powieść egzotyczna	3.—
GREGOR H. H. Amerykanin o Polsce i Ameryce	3.—
HOESICK F. Paryż	9.—
KLEINER J. Juliusz Słowacki. T. III	12.—
KOWERSKA Z. Na cichej wsi. Powieść	6.—
KUCHARSKI-KORAB H. „R.S.F.S.R.“. Wrażenia z podróży naokoło Rosji sowieckiej	3.50
MAŁACZEWSKI E. Koń na wzgórzu. Wyd. 3-cie	5.—
OSSENDOWSKI F. A. Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów. (Konno przez Azję Centralną). Z licznymi ilustracjami	10.—
PRUS BOLESŁAW. Lalka. 3 tomy. Wyd. nowe	20.—
PRUS BOLESŁAW. Placówka. Wyd. nowe	4.50
REYMONT WŁ. ST. Osądzona. Dwie opowieści (Osądzona—Księżniczka)	4.—
SAROLEA K. Listy o Polsce. Z przedmowami Kard. Merciera i J. K. Chestertona. Tłum. J. Sienkiewiczówna	—
SIENKIEWICZ H. Rodzina Połanieckich 3 tomy. Wyd. nowe	13.—
SŁOŃSKI E. Drogi nieznane. Powieść	4.—
ŻYZNOWSKI J. Krwawy strzęp. Wspomnienia bajączyka	2.—

Będąc nad morzem należy przeczytać książkę
prof. Michała Siedleckiego

SKARBY WÓD

(80 rys. w tekście).

Cena 4.75

obejmującą następujące rozdziały: Lzy oceanu. Na podmorskich ogrodach. Czerwone korale. Na brzegach oceanu. Mech morski. Krewety. Delfiny. Wielcy wędrowcy. Sielawy. Nad polskim morzem.

Ceny zasadnicze. Mnożnik 8.000

Do cen katalogowych księgarnie doliczają 20^o/_o dodatku sortymentowego.

WYDAWN. GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA, KRAKÓW, LUBLIN, ŁÓDŹ, POZNAŃ, WILNO, ZAKOPANE



KSIĘGARNIA

TRZASKA, EWERT
I MICHALSKI

(HOTEL EUROPEJSKI)

POLECA POWIEŚĆ
CEZAREGO JELLENTY

P. T.

„JASNY HUBERT”

LUDWIK SPIESS I SYN



DENTOSAN

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW



HAZ-ELITE

WYBOROWY KREM

UDELIKATNIAJĄCY I BIELĄCY CERĘ
ZADAĆ WSZĘDZIE

STERYLIZATORY ORYGIN.
J. WECKA



JEDYNE, KTÓRE,
DZIĘKI SPECJALNE-
MU OSZLIFOWANIU
BRZEGÓW SZKIEŁ,
ZAPEWNIĄ PRZE-
CHOWYWANIE KON-
SERW W STANIE
ZUPEŁNIE ŚWIEŻYM
PRZEZ CZAS BAR-
DZO DŁUGI.

KRZYSZTOF BRUNI SYN

PLAC TEATRALNY. FILJA I: MARSZAŁKOWSKA 124.

EGZ. OD R. 1848

A. ARONSON

SPADKOBIERCY

PLAC ŻELAZNEJ BRAMY I. TEL. 21-02

MATERJAŁY WEŁNIANE
ANGIELSKIE I KRAJOWE
GABARDINY I COVER-
COATY IMPREGNOWANE

OSTATNIE NOWOŚCI NA SKŁADZIE

HURT

DETAL

La Maison de France

EN POLOGNE

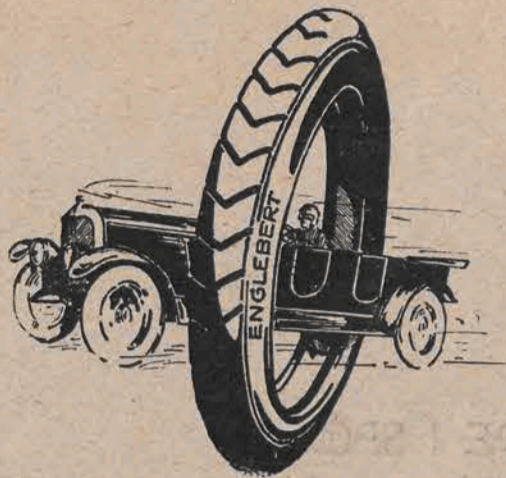
VARSOVIE - rue KREDYTOWA 9 - TEL. 225-06

TISSUS ANGLAIS

SOIERIES

ARTICLES DE PARIS

GENERALNY PRZEDSTAWICIEL
OPON BELGIJSKICH
„ENGLEBERT”



DOM HANDLOWY
ALEKSANDER RIEDEL
WARSZAWA
KREDYTOWA 16. TELEFON 291-45

SKŁAD FUTER I WYROBY FUTRZANE

POD FIRMA

„LEONAR”

MARSZAŁKOWSKA 147. TEL. 271-29

W PODWÓRZU VIS À VIS BRAMY

POLECA WIELKI WYBÓR:

PALT KARAKUŁOWYCH
FOKOWYCH I BIBRETOWYCH

ORAZ

FUTRA MĘSKIE NA CYBETACH I ELKACH
REGLANY MĘSKIE NA FUTRZE
TAKŻE WYKWINTNĄ
GALANTERJĘ

PO CENACH PRZYSTĘPNYCH
I NA DOGODNYCH WARUNKACH



NA RATY!!

CENY JAK ZA GOTÓWKĘ

WIELKI WYBÓR

KRAJOWEJ I ZAGRANICZNEJ MANUFAKTURY

MATERJAŁY DAMSKIE:

Boston, Sukno, Szewiot, Covercoat, Markizeta, Gabardina, Wełna
na suknie, Eponge i Trikotina (w różnych odcieniach)

MATERJAŁY MĘSKIE:

Kamgarn, Krepa, Boston, Covercoat, Cze-sun-cza, Alpaga, Szewiot,
Angielskie, Sztuczkowe na spodnie, Tennis w różnych odcieniach

WIELKI WYBÓR PŁÓTNA NA BIELIZNĘ

JEDWABIE NA PŁASZCZE, SUKNIE
I MATERJAŁY NA JESIONKI

WIELKI WYBÓR CHUSTEK WEŁNIANYCH I FUTER

Z tychże materiałów wykonywam na zamówienia
wszelkiego rodzaju okrycia damskie i męskie

ROBOTA WYKWINTNA

NAJNOWSZE MODELE

DUŻY WYBÓR GOTOWYCH UBIORÓW MĘSKICH I DAMSKICH
NA DOGODNYCH WARUNKACH POLECA FIRMA:

J. MIŃSKI

CENTRALA: WARSZAWA, DŁUGA 53. TEL. 134-78

FILJA: DŁUGA 25

(SKLEP NAROŻNY W GMACHU TEATRU IM. BOGUSŁAWSKIEGO)



KSIĘGARNIA E. WENDE I SPÓŁKA
TOW. WYDAWNICZE „IGNIS” S. A.
W WARSZAWIE, KRAK.-PRZEDM. Nr. 9
POLECA BOGATO ZAOPATRZONY DZIAŁ
KSIĄŻEK BELETRYSTYCZNYCH I NAUKO-
WYCH. KATALOGI, PROSPEKTY ORAZ
ZAMÓWIENIA USKUTECZNIAMY
ODWROTNĄ POCZTĄ



AUTO-KONCERN



SPÓŁKA Z OGR. ODP.

JENERALNA REPREZENTACJA FABRYK

SAMOCHODÓW:

DUX 6-cio OSOBOWE 17/50 K.M.
LUKSUSOWE

N. A. G. 6-cio OSOBOWE 10/30 K.M.
LUKSUSOWE

BRENNABOR 4-o OSOBOWE 6/20 K.M.
6-cio „ 8/24

WARSZAWA

WIERZBOWA 8
TELEFON 123-29

SKR. TEL. AUTOKONCERN

GARAŻ
PUŁAWSKA Nr. 29